Opowieści Japońskie

w spolszczeniu Jana G.

Nakładem „Słowa Polskiego" we Lwowie 1905.

Z DRUKARNI SŁOWA POLSKIEGO WE LWOWIE
pod zarządem Józefa Ziembińskiego.

Opowieści japońskie.

Jeśli Japonia przed wojną obecną wywierała już wpływ na sztukę i literaturę w Europie, to oczywiście po wojnie wpływ ten wzmoże się bardziej, skoro to właściwością jest natury zarówno wszechświata jak i ludzkiej, że im ciało silniejsze, tem większą wywiera atrakcyę; a Japonia tyle siły wykazała i wykazuje, tem ciekawszej, że niespodzianej i nieprzewidywanej, czego już chyba w tem przyczyny szukać wypadało, że się jej nie znało dobrze i nie badało. Choćby nawet przy objawach materyalnych i moralnych akcyi militarnej występującą siłę oną chciało się widzieć w umiejętności spożytkowania przez nich nabytków cywilizacyi europejskiej, to i wówczas nawet pierwotnego źródła owej umiejętności musiałoby się szukać w stadyum ich kultury rodzimej, czyli tego stadyum, które poprzedziło zetknięcie się z cywilizacyą Europy, boć żeby ją spożytkować tak, jak oni spożytkowują, potrzeba było mieć zdolności poprzednio, bądź już wyrobione, bądź stopniowo wyrabiające się w miarę asymilowania pierwiastków nabywanych.

Najbarwniejszym wyrazem onego stadyum duszy japońskiej w słowie są kreacye, zwane u nas, niekoniecznie udatnie, folklorem, który w Japonii ma daleko szersze znaczenie niż w Europie, lecz i mniej charakteru przeżytkowego dla ludu wykazuje i bardziej

żywotnością swoją aktualną wybiega po za sfery ludowe. Zamierzając z czasem przedstawić cały obraz tej twórczości w spolszczeniu, na razie podajemy po parę obrazków z każdej odmiany. Są więc tu i zagi mitologiczne w ogóle, i kosmogoniczne w szczególności, i baśni, i podania dziejowe, tudzież z epoki beroicznej i budaistycznej, i bajki ze świata zwierzęcego, i wreszcie klechdy i opowieści z życia codziennego i ze świata zagrobowego. Oczywiście kategoryzacyę taką zaznaczamy ze stanowiska europejskiego a przyjętego powszechnie. Jeśli w pojęciu filozofa japońskiego dusza przedstawia się niekiedy jako agregat wrażeń, myśli, uczuć, idei, przeznaczonych do rozkładu wraz z ciałem i na podścielisko dla przyszłych, doskonalszych wcieleń, a u ludu pojmowana jako osobowość, to wszakże dla jednych i drugiego to wcielanie się stanowi niejako punkt styczny, po za którym jeszcze więcej wspólności nadaje wspólna u nich negacya różnicy między życiem a śmiercią. Stąd jak w życiu przejście z jednego stanu do drugiego jest u Japończyka naturalnem, nie sprawiającem mu takich wstrząśnień jak u nas, tak też w opowieściach onych świat zagrobowy przedstawia się dalszym, nieprzerwalnym ciągiem świata przedgrobowego; nieboszczyki biorą tam najżywszy udział we wszystkich sprawach Japończyka, w jego radościach i smutkach, w dolegliwościach i w powodzeniu, w czynach, w myślach i pragnieniach. I nawzajem — żywy człowiek w czynnościach swoich i postępowaniu ziemskiem ma myśl i uczucie zwrócone ku onemu światu zagrobowemu i często każdy krok swój zastosowuje do tego, jak będzie uważany i przyjęty przez zmarłych. Ta nierozerwalność dwóch światów, dająca dla nas tak bogatą kanwę spirytystyczną, staje się dla niego normą kulturalną życia jednostek i rozwoju narodowego. Stąd głęboki, obok miłości życia rodzinnego, kult przodków i cześć dla przeszłości jako dorobku kulturalnego, stąd wreszcie silne uspołecznienie i głęboka miłość ojczyzny.

W odpowiedniej mierze rozwinął się u Japończyka harmonijny pogląd na stosunek człowieka do otaczającego go świata natury, gdzie również znika u niego granica między jednym a drugim, albo nie odrzyna się tak kontrastycznie jak u nas. Zwierz u niego nie tylko wchodzi w blizki stosunek towarzyski i społeczny z człowiekiem, nie tylko czuje, myśli i mówi jak człowiek, ale i ulega tym samym przemianom, przyjmuje na siebie postąć ludzką i przechodzi przez podobne metamorfozy wcielania się. Naodwrót — człowiek przyjmuje postać zwierzęcą, lub żyjąc w ciele swojem, pojmuje i dostrzega aspiracye zwierzęce. A to samo poniekąd da się powiedzieć i o reszcie świata otaczającego. Wierzba zasadzona na grobie dziecka nieszczęsnego — płacze i skarży się jego nieszczęściem; fala morza bije gniewnie o brzeg, bo na nim stoi morderca ofiary utopionej, w której losach bierze udział bóg morza i samo morze, więc bije nie metaforą i alegoryą poety, ale całą siłą aktualności, którą żywy człowiek widzi, słyszy i rozpoznaje wszelkie odmiany jej wibracyi.

A choćbyśmy w motywach i przyczynach tego ruchu chcieli dopatrzyć błąd i omyłkę po stronie Japończyka, to nigdy zaprzeczyć nie zdołamy głębokiej u niego dostrzegalności i poznawalności charakteru ruchu tego. Jego obserwacye natury sprawiają wrażenie, jak gdyby on posiadał zmysł szósty, albo istniejące zmysły miał czulsze i ostrzejsze od naszych. Jak w malowidłach i rysunkach, tak i w opowieściach jego owad lub źdźbło trawy przedstawia się inaczej, niż u nas; on dostrzega linie i momenta ruchu, których my nie dostrzegamy. Stąd w dwóch rozbieżnych kierunkach rozwija się jednocześnie twórczość jego. Z jednej strony ogromna reliefność i żywotność plastyki a drobiazgowość wykończenia, z drugiej zaś — bajeczne niemal, szlagwortami linii, punktów i barw, markowanie idei lub akcyi. Niekiedy jedno karykaturalne przechylenie się, jedna linia ruchu bohomaza drze-

worytu japońskiego, a obok postawiona miska barwy burakowej, wymownością sytuacyi może obudzić zazdrość u najzdolniejszych naszych symbolistów i secesyonistów. Niezrównana prostota i naiwność ekspozycyi idzie tu w parze z rozmachem techniki i głębią pomysłu. Tej pozornej sprzeczności nie brak i charakterowi narodowemu w owych opowieściach jak i w życiu: pracowitość i oszczędność występuje tu obok wspaniałomyślności i ofiarności, wytrwałość obok zapału, prawdomowność obok skrytości, mściwość obok wyrozumiałości, obojętności i refleksyi; a ponad realistycznemi obrazami sobkostwa, szalbierstwa, warcholstwa, rozpasania i frondy przeszłości, unosi się wszędzie dążność do miłosierdzia, uczciwości, zamiłowanie porządku, trzeźwości i poszanowanie ładu społecznego.

J. G.

Stworzenie świata.

Prabogowie powstali w praczasie czasów, który żadnym czasem nie był, a świat, wraz z nierozdzielnemi od siebie wzajem niebem i ziemią, przedstawiał się jako chaos bez form i kształtów. Wówczas to powstał olbrzymi pąk sitowia czy trzciny, który na wzór wypryskającego rogu kiełkował wśród bezbrzeżnego zamętu. Z tego pierwszego prabóstwa zrodziły się inne, ale dopiero po trzeciem pokoleniu nastąpił rozdział lotnych, powiewnych części wszechświata, u góry, od cięższych, masywnych, u dołu. Nawet wówczas, gdy z trzeciego prabóstwa, które nazwano wielkim duchem niebios, powstała pierwsza para bogów i w górnych sferach, gdzie się rozwijał ów pąk sitowia, tworzyło się niebo, na ziemiach wciąż jeszcze władała chaotyczność.

Wyobrazić niepodobna, jak długo to trwało, gdy się pojawiła czwarta para bogów: potężny prabóg powietrza — Izanagi i prabogini fal — Izanami. Oni to ziemię utworzyli i od nich pochodzą nie tylko ludzie, ale to wszystko, co żyje i porusza się na świecie. Raz, gdy oboje przeciągali przez powiewny, w przestworach nieba unoszący się siedmiobarwnej tęczy most, odezwał się naraz prabóg Izanagi do swej towarzyszki Izanami:

— Wszakże tam zdala pod nami rozciąga się jeszcze jedno państwo, dla czegóżbyśmy nie mieli tam zstąpić?

I to mówiąc, cenną swą kopię, wysadzaną drogiemi kamieniami i koralami, zapuścił w burzącą się w głębiach masę, która wnet osiadła i skrzepła na końcu kopii, i w ten sposób powstał pierwszy ląd — wyspa Onogoro. Na nią to zstąpili oboje bogowie i wznieśli tam słupiec wysoki, na którego szczycie ułożyć

mogli most niebieski, i ten słupiec, tę ostrokończystą skałę uczynili środkowym punktem ziemi, na której teraz zamieszkać zapragnęli.

Dzięki mądrości wielkiego ducha niebios prabóg Izanagi był istotą męzką, a prabogini Izanami — żeńską; postanowili tedy skojarzyć się i na przyszłość żyć na ziemi jako mąż i żona. W duszy ich powstała natychmiast myśl starania się o siebie wzajem uroczyście i formalnie, toć postanowili, aby Izanagi od lewej strony, a Izanami od prawej, obeszli wysoką skałę, a gdy się spotkają, będzie to aktem ich zaręczyn. I tak się stało: jedno poszło od lewa, drugie od prawa, a gdy ujrzeli siebie zdala, bogini fal — Izanami — zawołała z zapałem:

— O, co za mąż piękny!

Przyczem pierwsza ujęła rękę męża, i małżeństwo zostało dokonane.

Stało się wszakże, iż nie mieli tak szczęśliwego potomstwa jak pragnęli, co się okazało nie tylko na synie, ale i we wszelkich innych sprawach; gdyż tym cudownym było przysądzone, aby rodzili na świat ziemie. Owóż wyspa, którą zrodzili, wcale nie była mocarstwem wielkiem i wspaniałem, jeno pustą, ubogą wyspą — Awaji. Chłopiec zaś, który im przyszedł na świat, bynajmniej nie wyglądał na okazałego syna pańskiego, jeno, kulawy kaleka, zwał się Hiruko, i gdy po trzech latach jeszcze utrzymać się nie mógł na nogach, rodzice upletli łódkę z sitowia, włożyli w nią dziecię i puścili na łaskę wiatru i fal.

Zaczem prabóg Izanagi i prabogini Izanami, wznieśli się znów ku niebu, i tam pytali wielkiego ducha niebios o przyczynę dotychczasowych niepowodzeń i o wskazówki stania się szczęśliwszymi. Tedy wzniosły, mądry i wielki duch niebios pouczył ich, że zawsze i wszędzie mąż winien mieć pierwszeństwo; niewłaściwie więc postąpiono, że Izanami, kobieta, rozpoczęła była starania: to rzecz jej pana i władcy — Izanagiego, i z tego powodu wypłynęły ich niepowodzenia.

Tak pouczeni, powrócili pośpiesznie na ziemię i na nowo rozpoczęli swoje konkury. I znów jeszcze raz wędrował Izanagi od

lewa, a Izanami od prawa, a gdy się spotkali, zawołał najpierw prabóg powietrza — Izanagi:

— O, co za kobieta piękna!

I teraz na nowo się skojarzyli i byli szczęśliwszymi niż poprzednio. Doczekali się potomstwa — w ośmiu wielkich wyspach państwa japońskiego, najpierw wspaniałej, urodzajnej wyspy Jamato, dawniej środkowego punktu państwa, — następnie Szykoku, Kiuszju, Oki, Sado i innych wysp. Małe zaś wyspy skaliste zsiadły i potworzyły się same od rozbijania się bałwanów o brzegi utworzonych przez Izanagiego i Izanami wysp; w taki sam sposób też powstały inne wyspy i kraje Chin, tudzież cały ląd reszty świata. Wówczas wszakże urodził się im bóg morza, władca rzek, bóg gór, wreszcie bóg drzew i bogini wątlejszych roślin i traw.

— Stworzyliśmy wielkie mocarstwo ośmiu wysp, góry, rzeki, rośliny — powiedzieli wówczas ci dwaj prabogowie. — Teraz musimy mieć bóstwo, władnące i rządzące niemi.

Niebawem urodziła się im córka tak dziwnej, promiennej piękności, że ją nazwali pochodnią nieba — Amaterazu:

— Córka nasza powinna zamieszkać tam w przestworzach nieba, i stamtąd rządzić wszechświatem — zawołał Izanagi, uradowany wraz z żoną widokiem ślicznej Amaterazu.

Izanami to się wielce podobało, tedy zaprowadzono Amaterazu na wyżynę słupca przez bujający most niebios, które wówczas znajdowały się w pobliżu ziemi. Tamto wielki duch niebios uczynił ją dostojną boginią słońca, i dlatego oboje rodzice uznali ją właściwie za pierworodne dziecię, wysoko przed innemi uważaną i cenioną.

Następne dziecię im zrodzone było synem, nie mniej piękne od Amaterazu, ale dzikiej natury. Przesiedlił go rodzic również w niebo, aby stamtąd panował pospołu z siostrą: był to księżyc, Cukujomi.

Urodził się i trzeci potomek — Zozanoo, waleczny, mocarny bohater, o długiej skłębionej brodzie, natury wszakże posępnej, ponurej. Tak okropnie płakał on i wrzeszczał, że trawa na górach powysychała, a ludzie powymierali. Izanagi uczynił go najpierw

władcą oceanu, ale mało miał pociechy z tego syna, który go często do gniewu pobudzał.

Niebawem nastąpił koniec szczęścia i rozkoszy twórczej przesławnej pary prabogów. Gdy urodził się syn najmłodszy, bóg ognia, musiała Izanami umrzeć; a chociaż wraz z nim przyszedł jednocześnie na świat bóg kruszców, bogini rolnictwa i bogini błot, to wszakże matka przeżyć nie mogła urodzin boga ognia i została przezeń spalona. Skonała więc i skryła się samotnie w najgłębszej puszczy kraju Kii, gdzie dotąd czczą ją w uroczystościach procesyami, pląsami, śpiewem i kwiatami. Stąd przeniosła się w świat podziemny.

Mocno Izanagiego rozgoryczyła i rozgniewała śmierć małżonki; pochwycił miecz swój ciężki i sprawcę tej śmierci, boga ognia, rozpłatał na troje. Z tych rozpłatanych części powstali trzej nowi bogowie: bóg chmur gromowych, bóg grzmotu i bóg piorunu tudzież błyskawic.

Izanagi z tęsknoty po ukochanej Izanami zstąpił także w posępne przestwory świata podziemnego. Na spotkanie mu jako duch wyszła małżonka, w tej samej wszakże postaci, w jakiej ją dawniej był zwykł widywać, i prosiła go a błagała, aby zaniechał zamiaru przybywania ku niej. Ale on nie dał się powstrzymać, posuwał się dalej w ciemne głębie, które rozświetlił, pocierając wiór o grzebień. Z pochodnią tą szukał swej Izanami — lecz znalazł tylko jej zwłoki strupieszałe. Izanami, rozgoryczona, że nie usłuchał jej błagań, kazała go wypędzić ośmiu okrutnym a strach budzącym niewiastom, którym poruczono straż świata podziemnego. I tak ścigany musiał uchodzić. Walecznie wszakże bronił się w odwrocie mieczem, przyczem cisnął im swą perukę, — która się zmieniła w winne grono, — oraz ów grzebień światłonośny, którego zęby zmieniły się w latorośle bambusowe.

Gdy ośm niewiast z pożądliwością rzuciły się do zjedzenia winnych i bambusowych latorośli, Izanagi tymczasem uciekł szczęśliwie ze świata podziemnego. Na przestronych wszakże schodach, które stamtąd prowadziły w górę, stanął, odwrócił się, i zawołał do Izanami, jako teraz na wieki rozstaną się, a ślub ten stwierdził przysięgą. Jednocześnie pochwycił olbrzymi złom skały,

którego nie udźwignęłyby i tysiące ludu, i cisnął go przed wrota podziemiów, zapierając w ten sposób doń dostęp. Gdy to spostrzegła Izanami, cisnęła groźbę, że odtąd tysiąc ludzi codziennie, za jej wolą, umierać będzie, na co Izanagi odparł, że natomiast półtora tysiąca rodzić się ma. To rzekłszy, pomknął pospiesznie, odrzucił kopię i szaty i udał się ku cieśninom morskim, które zamykają międzymorze Japonii i jej części wzajem od siebie dzielą. Tu wybrał miejsce najodpowiedniejsze do kąpieli i wykąpał się z tych nieczystości, których się nabawił w podziemiu. W następstwie onej kąpieli powstali rozmaici bogowie, czczeni po dziś dzień w Japonii jako bóstwa morskie i nadbrzeżne.

Po ukończeniu posłannictwa boskiego Izanagi postanowił teraz przejść w stan spoczynku. Oddał trzem swoim dzieciom Amaterazu, Cukujomi i Zozanoo ostateczne władztwo nad powierzonemi im państwami. Zozanoo wszakże, ów gwałtowny o kłębiącej się brodzie bóg, począł bardziej niż kiedykolwiek utyskiwać i szemrać, nalegając na ojca, aby go odesłał do matki, do podziemiów, gdzie spodziewał się jedynie znaleźć spokój. Choć Izanagi sarkał na to, ale w końcu uległ jego prośbom i przeniósł na Cukujomiego zwierzchnictwo fal morskich, które odtąd podległe są księżycowi. Zozanoo, zadowolony teraz z losu swego, prosił wszakże ojca, aby mógł jeszcze chwilkę zabawić przy siostrze swej Amaterazu. I to mu pozwolono. Izanagi zaś zbudował sobie świątynię w Awaji, następnie wstąpił do nieba, gdzie ów przesławny twórca i władca ziemi przebywa odtąd w nowym wspaniałym pałacu ulubionej swej córy, bogini słońca, którą wspiera swemi mądremi radami.

Amaterazu i Zozanoo.

Gdy ponury bóg Zozanoo, co miał później panować nad światem podziemnym, wpierw za pozwoleniem ojca odwiedził swą siostrę Amaterazu w niebie, ta się na widok jego wielce przelękła. Znała ona aż zanadto dobrze naturę jego burzliwą, zaniepokoiła się więc, mniemając, że przybył wydrzeć jej królestwo. Toć przygotowała się do walki i odważnie wystąpiła na spotkanie jego. Zozanoo wszakże nie żywił na razie złych zamiarów, lecz przybył do siostry w usposobieniu pokojowem, począł okazywać jej nawet uprzejmość i zapewniał o swoich uczuciach najuroczyściej. Ale Amaterazu wciąż jeszcze nie dowierzała, żądając dowodów.

— A więc dobrze — rzekł on — stworzę ci natychmiast bogów z klejnotów twego naszyjnika; jeśli to będą kobiety, to uważaj mię za winowajcę, a jeśli mężowie, to zaufaj mi, i pozwól pobyć przy sobie.

Amaterazu zgodziła się na to z przyjemnością, ale chcąc również okazać swą potęgę boską, rzekła:

— Daj mi swój miecz!

Gdy go Zozanoo wręczył jej, odgryzła z niego ostrze, wypluła i chuchnęła w powietrze. Stąd powstały trzy miłe boginie pól, posłane przez Amaterazu na wyspę Kiuszju. Widział to Zozanoo i pochwaliwszy siostrę, wziął od niej sznur klejnotów w swe ręce i po cząstce odgryzł z każdego z nich, a gdy je owionął tchem swoim i puścił w powietrze, powstało pięciu wspaniałych bogów, ku wielkiej radości Amaterazu, która też ich, jako powstałych z jej klejnotów, uznała natychmiast za swych synów; naj-

starszemu dała imię Oszyhomi, a drugiemu z kolei — Amenohohi.

Otrzymawszy dowód pokojowych zamiarów brata, Amaterazu poczęła z nim razem uprawiać pola ryżowe w niebie, w błogiem szczęściu. Ale narowista natura Zozanoo nie długo dała w tej błogości wytrwać. Jął on zazdrościć siostrze, że pola jej, gdziekolwiekbądź leżały — czy to na wyżynach, czy w dolinach, nad rzekami lub w pobliżu pałacu, zawsze wyborne dawały urodzaje, gdy jego przy nadmiarze deszczów kwaśniały, a przy posusze wysychały; poniszczył więc wodociągi i pozatykał rowy Amaterazowe, a w nadmiarze złości powyganiał jesienią swe konie na niwę kłosonośną. Dobra bogini w miłości siostrzanej przebaczyła mu to wszystko gwoli świętej zgody. Gdy ten wszakże złośliwość swoją tak dalece posunął, że jej pałac skalał, wystawiając ją na hańbę i szyderstwo; gdy nareszcie prześliczne, prążkowane źrebię niebiańskie, ulubieńca wszechbogów, napadł, bezlitośnie skórę z niego zdarł i trupa wrzucił do pałacu Amaterazu w chwili, gdy ta uroczyście święciła post, miara jej boskiej cierpliwości wyczerpała się. Siedziała ona właśnie przy warsztacie tkackim i pilnie pracowała, gdy naraz przez otwór w dachu, umyślnie przebity przez Zozanoo, upadł ku stopom jej haniebnie oszpecony trup. Tak się tem okrutnie przestraszyła, że łódką tkacką skaleczyła się dotkliwie w rękę. Urażona wielce, powstała z miejsca i nic nie mówiąc, udała się ku głębokiej pieczarze nieba, tam się ukryła i mocno otwór za sobą zaparła.

Naraz wszędzie zapanowały głębokie ciemności, ustała różnica między dniem i nocą, niebo i ziemia w jednolitej mierze osłoniły się ponurą pomroką, wśród której błądzić zaczęły złe duchy.

Gdy spostrzegli takie nieszczęście straszne bogowie, wszyscy się zgromadzili na narady nad brzegiem owego potoku niebieskiego, który ludzie zwą mleczną drogą. Wszyscy przyszli do przekonania, że jak sprawczynią tego groźnego stanu była Amaterazu, tak też ona jedna tylko jest w stanie zło odwrócić i że przeto wszelkich dołożyć należy starań, aby ją wywabić z pieczary.

Dla wykonania ułożonego planu potrzeba było sił i środków wszechstronnych, toć wszyscy nie tylko przyrzekli swój udział, ale

też bez zwłoki raźno zabrali się do roboty. Najpierw Amenokojane, syn wielkiego ducha niebios, powyrywał z korzeniem święte drzewa Sakaki, które rosły na wyżynach nieba, i posadził je dokoła pieczary. Wysoko na konarach tych drzew porozwieszano drogie kamienie nieba i w ogóle klejnoty, cudowne blaski siejące; a w pośrodku nich postanowiono umieścić olbrzymie źwierciadło metalowe, w kształcie tarczy okrągłej, której połyskująca wspaniałość przypominałaby słońce. W tym celu przywołano boga Iszykorydome, praojca wszystkich źwierciadlników, który, przygotowawszy olbrzymie miechy ze skór jelenich, raźno zabrał się do roboty. Nie tak to wszakże było łatwo, jakby się zdawało, gdyż chociaż dostarczono najlepszych kruszców, jakie tylko kopalnie nieba posiadały, to jednak pierwsze próby z niemi nie udały się i dopiero trzecie źwierciadło okazało się bez zmazy i wielkości pożądanej. Wówczas wielki duch nieba kazał dwom bogom przygotować podarki świąteczne na podobieństwo tych, które ludzie zawieszają na wielkiej, papierem opatrzonej tyce do przywoływania bogów. Zasadzono jednocześnie drzewa morwowe dla jedwabników oraz zasiano konopie, a z dwojakiej, stąd wyrobionej przędzy sporządzono dwojaką tkaninę — delikatną, białą, jedwabną, i grubszą, błękitnawą, konopną, i obie — jako podarek świąteczny dla bogini, zawieszono na dolnych gałęziach wielkiego drzewa Sakaki. Dwaj inni bogowie uczynili wyrąb drzewa na górach niebieskich, wykopali rowy dla fundamentów i powstawiali tam słupce dla budowy domu świętego, obok małego, pięknie ozdobionego ogrodu, na którego wrotach umieszczono pewną ilość kogutów.

Poczyniono tedy wszelkie przygotowania, zanim wszakże do ostatecznego wykonania planu przystąpiono, złapano jelenia, wyrwano mu łopatkę i puszczono napowrót na wolność; kość zaś łopatkową rozgrzano nad ogniem z drzewa wiśniowego, a równomierne pryskanie, wywoływane przez palenie, uznano za szczęśliwy prognostyk.

Rozpoczęciu aktu właściwego nic już teraz nie stało na przeszkodzie. Tedy Amenokojane, w towarzystwie innego boga, ujął w ręce olbrzymie drzewo Sakaki, na którem pośrodku zawieszone

było zwierciadło, otoczone klejnotami, a u dołu podarki świąteczne, i zbliżył się ku jaskini. Gdy bóg Tajikarao, któremu w sile nikt nie dorównał w niebie i na ziemi, stanął u samego wejścia pieczary, w której się była skryła bogini słońca i zasłonił je sobą, ów, Amenokojane, wystąpił z mową wspaniałą, zwróconą ku tejże bogini. Gdy ta wszakże niczem nie zdradzała ochoty pojawienia się i nieczułą się okazywała na kwiaty krasomówstwa Amenokojanowego, rozpoczęła się właściwa uroczystość.

Najpierw zaprodukowano tańce i muzykę pod kierownictwem pięknej bogini Ucumy, która sama jednocześnie grała na fujarce bambusowej, gdy inni bogowie jej towarzyszący wtórowali, uderzając olbrzymie deski jedna o drugą; bóg zaś Amenokamato ustawił sześć łuków jeden przy drugim, cięciwami do góry, po których syn jego zawzięcie pociągał naprzód i w tył trzciną i sitowiem, z czego powstawały daleko w przestworach świata rozlegające się dźwięki takiego o silnych strunach narzędzia muzycznego.

Bogini Ucuma, wyborna tancerka, była cudnie ustrojona. Głowę jej okrywały długie pasma mchu drzewnego, a jej szerokie rękawy na krzyż wstęgami były związane, jak to i po dziś dzień czynią Japonki, gdy są przy robocie. W ręku trzymała ona liście bambusu dzikiego, któremi wdzięcznie powiewała w powietrzu, tańcząc na odwróconej dnem do góry kadzi. Dokoła zapalono ognie olbrzymie, aby o ile można rozjaśnić otaczające ciemności; wszystkie zaś koguty piać poczęły, jak gdyby na rozpoczęcie świtu.

Taniec stawał się coraz bardziej zawziętym: Ucuma wykonywała skoki wysokie na kadzi i uderzała gwałtownie stopami o dno jej, jakby o bęben; przyczem śpiewała świętą modlitwę Japończyków, złożoną z szeregu liczb:

Raz, dwa i trzy,
cztery, pięć, sześć,
siedm, ośm, dziewięć,
dziesięć, sto, tysiąc,
dziesięć tysięcy.

Doszedłszy do setki i tysiączki, zaznaczyła mocno ulubioną w Japonii grę słów, odsłaniając jednocześnie biodra i pierś, gdyż tym częściom ciała służą właśnie nazwy, które ma sto i tysiąc. Gdy to się stało, bogowie tak wielkim śmiechem wybuchli, że aż się wstrząsnęło całe niebo.

Amaterazu w swej cichej jaskini słuchała i mowy, i piania kogutów, i muzyki, ale wcale nie była ciekawą badania ich powodu; gdy wszakże teraz usłyszała śmiech tak gwałtowny, podziw ją ogarnął, uchyliła nieco wrota pieczary i rzekła do siebie:

— Cóż bo znowu? Myślałam, że niebo i ziemia otoczone są ciemnościami, a tu naraz widzę światło, Ucumę tańcującą i wszystkich bogów śmiejących się — co to ma znaczyć?

— Oczywiście, że tańczę, — odrzekła raźnie Ucuma, posłyszawszy słowa bogini, — a wszyscy inni bez granic śmieją się, gdyż tu pewna bogini zaćmiewa sławę twoją.

A przy tych słowach Amenokojane wraz z towarzyszem pochylili ku Amaterazu owo źwierciadło wielkie, w którem ta ujrzała odbicie swojej postaci z takiem zdumieniem i ciekawością, że rozwarła wrota jeszcze więcej. W tej chwili potężny siłacz — bóg Tajikarao — wcisnął się między wrota i ścianę pieczary, tak że takowe rozwarły się na oścież; zaczem pochwycił boginię słońca za rękę i wyciągnął ją całkowicie na zewnątrz, i naraz cały świat zajaśniał wspaniałym blaskiem słonecznym. Dwaj inni zaś bogowie, w obawie, aby Amaterazu nie rozmyśliła się i nie powróciła do pieczary, zatrzasnęli jej otwór skałą i zakryli oponą słomianą, wołając:

— Obyś już nigdy tam nie wchodziła!

Zozanoo za to, że tyle nieszczęść sprowadził niebu, musiał się poddać pokucie i oczyszczeniu, przyczem obcięto mu włosy i paznogcie na rękach i nogach. Zaczem wygnano go z nieba, a chociaż deszcz lał ulewny, tak że musiał sobie sporządzić parasol i płaszcz z liści drzewnych, żaden z bogów nie chciał mu użyczyć dachu swego na schronisko. Amaterazu zaś, wciąż dobrotliwa, przebaczyła mu wszystkie przewinienia i pożegnała go pojednawczo, ale na zawsze, z siedlisk niebiańskich.

Skąd zwycięstwa i pierwsza poezya Japończyków.

Nie mógł się Zozanoo w żaden sposób jeszcze zdecydować na powrót do państwa podziemnego, które przecie sam wyprosił w dziedzictwo od ojca swego, a mając za przewinienia swoje niebo dla się zamknięte, zstąpił najpierw na ziemię, gdzie zamierzał czas jakiś spędzić. Przebiegł Koreę i przybył do Idcumo na północnem wybrzeżu zachodniej Japonii. Tu idąc brzegiem rzeki słonecznej, ujrzał pływające po wodzie jarzyny.

— Aha! — zawołał — muszą tu być niedaleko ludzie, skoro są jarzyny.

Przyspieszył więc kroku, jako był żądny i ciekawy. Szedł jakiś czas w górę biegu wody, aż nareszcie posłyszał płacz i jęki. Zatrzymał się, nastawił uszu i przysłuchiwał się, skąd odgłos idzie, a gdy nareszcie doszedł do pewnej doliny, ujrzał starca z małżonką a wśród nich prześliczne dziewczę — wszystkich troje zanoszących się od płaczu. Starzy usiłowali napróżno uspokoić i ukoić dziewczynę, a nie mogąc tego dopiąć, sami płaczem wybuchali. Zozanoo skwapliwie zbliżył się ku nim i zapytał o przyczynę płaczu.

— Ja jestem Aszynadzuczy, bóg kraju tego — mówił starzec, przyczem powstając przywitał gościa głębokim ukłonem: — W pocie czoła uprawiam z czeladzią moją ryżowisko, i niby nam nie brakowało do szczęścia, gdyby nas nie nawiedzała straszna i niewymownie okrutna plaga. Siedm cór, któremi mię obdarzyła żona moja, zostały pochłonięte przez strasznego potwora morskiego, który zawsze przybywa wówczas, gdy te dochodzą do kwiatu piękności swojej. Obcą mu litość i nieczułym jest na rozpacz i jęki

nasze. Pozostała nam oto jeszcze córa ostatnia, piękna i dobra Inada, i tę chce potwór pochwycić i połknąć. — W oczekiwaniu tej chwili biadamy i opłakujemy nasze drogie dziecię.

Zozanoo niezwykle się zdziwił, słuchając opowiadania starca. Zasięgnął wiadomości szczegółowych o potworze, sprowadzającym tyle nieszczęść, i dowiedział się, że jest to smok okrutny o ośmiu łbach, których oczy płonące zdala świeciły i czerwieniły się jak poziomki, grzbiet zaś miał jakby lasem porosły, a brzuch wiecznie krwią pomazany. Zozanoo, powiedziawszy kim jest, przyrzekł nieszczęśliwcom swą pomoc, ale jednocześnie prosił starca i żonę jego o oddanie mu pięknej Inady za żonę w razie jeśli mu się uda uchronić ją przed smokiem. Starzy przyjęli to oświadczenie z tysiąckrotną wdzięcznością, a i Inada była zadowolona.

Zozanoo pomyślał chwilę, zaczem kazał rodzicom przygotować wielką ilość Zaki, czyli ognistego wina, które Japończycy sporządzają z ryżu. Sam zaś zbudował ośm izb, które pozostawił otworem, w każdej z nich umieściwszy kadź z ową Zaką. Gdy potwór miał nadejść, wdział Zozanoo raźnie na siebie szaty niewieście i tak się ustawił, że postać jego odbijała się w źwierciedle płynu pierwszej kadzi. Łapczywy smok ujrzał ten cień i rzucił się natychmiast na kadź w mniemaniu, że ów cień jest samą dziewicą. Z pożądliwością więc wchłonął w siebie całą kadź Zaki, a gdy podniósł wzrok stamtąd, ujrzał cień na drugiej kadzi, więc również szybko i łapczywie rzucił się i na tę. A gdy i ta została wypróżnioną, przeszedł do następnych, pochłonąwszy wszystkie do szczętu, jak tego się był spodziewał Zozanoo. Gdy skończył ósmą, upadł pijany na ziemię bez czucia. Teraz dopiero przystąpił ku niemu Zozanoo, wyciągnął miecz i silnym rozmachem odrąbał potworowi wszystkie łby i rozsiekał potężne cielsko. Gdy wszakże chciał przerąbać ogon, wyborny miecz jego się wyszczerbił. Zdziwił się tem niepomału, gdyż to mu się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Gdy wszakże począł badać przyczyny, okazało się, że w ogonie smoka był miecz, bez porównania lepszy od jego miecza, a nazwawszy go mieczem chmur, gdyż smok był ustawicznie otoczony grubemi chmurami, posłał go do nieba w podarku siostrze Amaterazu dla dalszego odkupienia win swoich. Amaterazu prze-

chowywała ów miecz cudowny w wielkiej czci i dała go później swemu wnukowi na ziemi, praojcu Mikadów. Wraz z innemi skarbami przechodził on w dziedzictwie z jednego na drugiego i wielu czynów bohaterskich właśnie nim dokonano, zwłaszcza przez sławnego cesarzewicza Jamatodakiego, od którego też otrzymał on miano Kosiarza, jak to opiewa podanie o tym bohaterze.

Uwolniwszy Inadę, jej rodziców i kraj cały od okrutnego smoka, — Zozanoo w myśl danego mu przyrzeczenia — otrzymał w nagrodę Inadę za małżonkę. Wzniósł przybytek dla się w Idcumo, i tam, na cześć swego zwycięstwa nad smokiem oraz małżeństwa, utworzył najdawniejszy znany w Japonii poemat, gwoli czego czczony jest jako najpierwszy twórca sztuki poetyckiej. Zaczem żył szczęśliwie z małżonką, zrodziwszy z Inadą syna, przodka całego szczepu władców, z których najznakomitszym był potomkiem Ookuniauszy.

Jamatodake.

Gdy w końcu trzeciej ćwierci wieku pierwszego podług rachuby chrześcjańskiej wstąpił na tron dwunasty z rzędu cesarz japoński — Keiko, synowi jego, Jamatodake, jednemu z najznakomitszych bohaterów Japonii, przypadło w udziale rozszerzyć granice państwa z dwóch stron i ustalić władztwo w dzisiejszych wyspiarskich dzierżawach cesarstwa. Przed nim bowiem zarówno na północnym wschodzie, na wielkiej wyspie Nipponu, buszowały liczne dzikie nieposkromione szczepy Jebizu, jak również na południowym wschodzie, na wyspie Kiuszju, opierały się hordy Kumazów.

Jamatodake był nietylko najodważniejszym, ale zarówno największej swego czasu siły mężem, i już jako dziecię ujawnił moc nadludzką. Pewnego dnia brat jego starszy, jakto nakazywały zwyczaje i przepisy, nie zjawił się zrana przed tronem ojca i ściągnął przez to na się niezadowolenie jego. Rozkazał tedy cesarz Keiko synowi Jamatodake, aby przypomniał bratu swemu tegoż obowiązek i winę. Jamatodake udał się natychmiast do niego, pochwycił go i chciał wlec za sobą; ale gdy tenże okazał się grymaśnym i opornym, pochwycił go Jamatodake i dusił tak gwałtownie, że ten rychło ducha wyzionął. Nierozumne podówczas jeszcze chłopię, Jamatodake porwał go na kawałki, pozawijał porwane członki w matę ryżową i wyrzucił, tak że nikt nie mógł się domyśleć nieszczęsnego zgonu cesarzewicza. Gdy wszakże po paru dniach cesarz Keiko zapytał Jamatodakego, dla czego brat jego wciąż jeszcze nie pojawia się przed tronem i czy go należycie upomniał, aby w sposób przepisany stanął przed ojcem, opowie-

dział ów spokojnie całe zajście. Keiko przeraził się, słysząc z ust dziecka coś podobnego i od tego czasu niepohamowana siła syna przejmowała go ciągłą trwogą, i wciąż rozmyślał nad tem, w jakiby sposób pozbyć się go z dworu i tak go zdala gdzieś zająć różnemi przedsięwzięciami, aby mógł siłę swoją odpowiednio i godnie zużytkować.

Właśnie doszedł Jamatodake lat 16, gdy się sposobność ku temu nadarzyła. Dziki szczep Kumazo pod przewodem dwóch braci, dwóch niezwykle mocarnych bohaterów, podniósł rokosz przeciw cesarzowi, i ten postanowił wyprawić przeciw nim syna swego. Jako chłopiec zwyczajem przyjętym nosił on czuprynę wysoko uwiązaną, co zamierzył wyzyskać dla podstępu wojennego. Poszedł więc do księżny Jamatohimy, ciotki swej, wielce dlań przychylnej i przez całe życie wiernej jego sojusznicy, z prośbą, aby mu użyczyła niektórych szat swoich niewieścich. Otrzymawszy takowe, ukrył je starannie do podróży, przypasał dobrze wyostrzony miecz i z nielicznym orszakiem wyruszył przeciw barbarzyńskim Kumazom, którzy podówczas zamieszkiwali jeszcze w jaskiniach i pieczarach.

Gdy Jamatodake przybył ku nim, odkryli oni byli, czy urządzili, nową jaskinię i przy tej sposobności przygotowywali ucztę, którą chcieli uświęcić nowe siedlisko. Książę ukrył się w pobliżu i czekał nadejścia dnia uczty. Wówczas uczesał swe włosy na sposób niewieści i wdział na siebie suknie ciotczyne i pas. Wyglądał zupełnie jak dziewczyna, toć obaj wodzowie Kumazów wielce się uradowali pojawieniem się wśród nich rzekomej kobiety pięknej. Rozpoczęła się uczta, w trakcie której Jamatodake wyciągnął miecz swój i przeszył nim piersi starszego z wodzów. Widząc to młodszy zabrał się do ucieczki, ale Jamatodake rzucił się za nim u samego wyjścia z pieczary i z tyłu przeszył go również mieczem. Ów zaś, już umierający, leżąc na ziemi, wyrzekł:

— Myślałem dotychczas, że nikt w świecie nie dorówna w sile mnie i bratu memu, ale teraz widzę, że chodź my tu u siebie poczytujemy się za najmocniejszych, ty wszakże, junaku z Jamato, prześcignąłeś nas.

Widząc to i słysząc, Kumazowie poddali się wszyscy bez wahania młodemu cesarzewiczowi, który ich napowrót przywiódł do wierności i posłuszeństwa cesarzowi.

Wracał więc radośny i okryty chwałą junak do Kioto. Zaledwo tu wszakże przybył szczęśliwie, ojciec już mu przygotował inne, pełne niebezpieczeństw zlecenie. W Idcumo powstał był przeciw cesarzowi okrutnie potężny wódz rokoszan, który pobiwszy na głowę wszystkie posłane nań zastępy rycerstwa, naigrawał się w swych jaskiniach i ostępach górskich z potęgi cesarskiej. Jamatodake musiał wyruszyć na poskromienie rokoszanina i wyruszył tam, bez żadnego orszaku, pragnąc zwyciężyć nie tylko mocą, ale i podstępem. W tym celu przybrał sobie imię fałszywe i udał, że pragnie ubiegać się o przyjaźń i towarzystwo zbójnika. Jakoż udało mu się stopniowo uzyskać tegoż zaufanie i obcować z nim jak z najlepszym przyjacielem. Osiągnąwszy to, Jamatodake przygotował miecz drewniany i nosił go w swej pochwie zamiast prawdziwego. Gdy tedy raz obadwaj kąpali się w rzece, przedłożył książę towarzyszowi swemu wymianę mieczów na stwierdzenie przyjaźni, a gdy ów zgodził się na to chętnie, podniecił go Jamatodake do pojedynku, w którym zbójnik oczywiście musiał być ze swoim mieczem drewnianym pobity i posiekany.

Ale i po tej wyprawie Jamatodake nie zaznał spoczynku, gdyż ojciec polecił mu ukorzyć pod swoją władzę wschodnią część wyspy Nipponu. W tym celu dał mu liczne zastępy wojska, walecznych i doświadczonych wodzów oraz jako oznakę zwierzchnictwa nad nimi — potężny grot, którym się on sam tylko posługiwał. Jamatodake wiedział wszakże, że wszystkie te honory świadczone mu były tylko po to, aby go się pozbyć, toć przed wyruszeniem w pochód udał się do słynnej świątyni Izy, której arcykapłanką była jego ukochana ciotka Jamatohima, i skarżył się przed nią na los swój gorzki.

— Zaledwo wróciłem z jednej wyprawy niebezpiecznej, a już ojciec posyła mię na drugą. Z Idcumy szczęśliwie przybyły, muszę teraz z wojskiem ruszać w dalekie strony do uśmierzania dzikich szczepów Wschodu. I tak będzie się to ciągnęło zawsze, aż zginę.

Napróżno Jamatohima usiłowała go pocieszyć, a gdy biadając wciąż żegnał się z nią, dała mu słynny miecz chmur boga Zozanoo, który jako relikwię przechowywała w świątyni, oraz torebkę, którą zaleciła otworzyć tylko w razie ostatecznej potrzeby i niebezpieczeństwa życia.

Wyruszył więc na wyprawę Jamatodake i przybył najpierw do Owari, gdzie był gościnnie podejmowany przez piękną księżniczkę Miacu, którą zamierzał nawet poślubić, odroczył wszakże zaślubiny do powrotu a tymczasem uroczyście z nią się zaręczył.

Następnie pociągnął dalej na Wschód, roznosząc wszędzie postrach i zwycięstwo nie tylko nad zastępami dzikich, ale również nad niechętnymi bogami tej krainy, którzy przeciw niemu się zwracali w górach i dolinach. W ten sposób dotarł do kraju Zagami, którego władca usiłował go zgubić podstępem.

Wskazał on Jamatodakemu puste trzęsawisko, w którem miał przebywać złośliwy duch szczególnej mocy i potęgi. Jamatodake nie wahał się ani chwili z wystąpieniem z nim do walki; gdy wszakże ocknął się wśród zarośli oparzeliska tego, zdradziecki książę podpalił je dokoła. Ze wszystkich stron otoczony ogniem płomiennym, Jamatodake przekonał się, że wpadł w zasadzkę, z której wyjścia nie ma i że mu tu ostateczna zguba grozi. Otworzył tedy torebkę cioteczyną, w której nic innego nie ujrzał, krom krzesiwa. Spostrzegł się od razu, co ma z tem począć. Skosił tedy najpierw swym mieczem tyle płonącej trawy, ile mógł, aby dla się miejsce oczyścić, następnie wykrzesał sam ogień, którego moc boska odżegnała i odpędziła tamten ogień. W ten sposób wydobył się z niebezpieczeństwa, zaczem wytępił cały ród podstępnego władcy i spustoszył siedlisko jego. Od tej pory wszelako miecz chmur Zozanoo otrzymał nazwę kosiarza.

Gdy bohater stamtąd pociągnął dalej i przybył nad wybrzeże Haszyrymidcu, do późniejszej zatoki Tokio, musiał wsiąść na okręt, aby dalej na Wschód się dostać. Tu ocknął się znów w wielkiem niebezpieczeństwie z powodu zagniewania się nań tamtejszego boga morskiego za to, że ów z naigrawaniem odezwał się lekceważąco o łatwym przejeździe przez morze, przez co zlekcewa-

żył samego boga. Fale i bałwany piętrzyły się okrutnie i groziły pochłonięciem okrętu Jamatodakowego. Ale ofiarowała się zań ukochana przezeń gorąco małżonka Taczybana, skoro ujrzała, że bóg morza nie uspokoi się bez ofiary ludzkiej. Kazała tedy rzucić na powierzchnię fal skóry i ranтuchy jedwabne i sama na nich się układła. Jakoż natychmiast wyrównało się morze, a księżna, zwrócona ku swemu małżonkowi, śpiewała pieśń pożegnania, której ostatnie słowa brzmiały:

— Masz się, ukochany, ocalić z grozy fal, jak z paszczy płomieni!

I nie ujrzano z niej już nic więcej krom grzebienia, który fale po siedmiu dniach wyrzuciły na brzeg na znak, że bóg morza miłościwie przyjął jej ofiarę. Grzebień ów został następnie przechowany starannie w przepysznem mauzoleum, poświęconem jej pamięci.

Jamatodake zaś, poskromiwszy wszędzie zarówno Jebiców, barbarzyńców Wschodu, jak różne oporne bogi gór i potoków, zabrał się do powrotu. Bez przeszkody dotarł do wąwozu Aszygara, który prowadzi z Zagami do Zurugi i znajduje się niedaleko Fudżyjamy. Właśnie odpoczywał i ucztował u stóp wyżyn wąwozu tego, gdy bóstwo góry w postaci jelenia białego stanęło przed nim. Jamatodake nie rokował sobie nic dobrego z tego zjawiska, poprzestał wszakże na zerwaniu łodygi czosnku dzikiego i rzuceniu na owego jelenia. Trafiła go w oko — i jakież było zdziwienie rycerza, gdy jeleń nagle padł martwy na ziemię; właściwa czosnkowi siła lecznicza zabiła złego ducha i unicestwiła zakusy jego.

Jamatodake bez przeszkody posuwał się ku wyżynom wąwozu. Przybywszy tam, ujrzał morze i zawołał, westchnąwszy trzykrotnie:

— Adcuma!

Znaczy to: „o żono moja!" A zawołał on dla tego, że na widok morza przypomniał mu się nieszczęsny zgon Taczybany. Od tego wykrzyknika cały kraj dokoła zowie się „Adcuma".

W dalszym powrocie przybył Jamatodake do Szynano, gdzie zwycięski stoczył bój z górskim bogiem wąwozu Szynanowego,

następnie do Owari, gdzie wywiązując się z danego przyrzeczenia, zaślubił księżniczkę Miacu.

Ale teraz zdawało się go szczęście opuszczać. Gdy wyruszał na pokonanie potężnego ducha górskiego — Ibukiego, na granicy prowincyi Omi i Mino, w zbytniem zaufaniu w siły własne pozostawił boski swój miecz w pałacu Miacu, chełpiąc się:

— Tego bożka górskiego zwalczę gołą ręką!

Gdy tedy wspinał się po pochyłości góry, wyszedł na spotkanie jego straszny dzik biały wielkości byka. W dziwnem zaślepieniu pozwolił on potworowi temu przejść mimo bez przeszkody, wołając: „Tego wysłańca wielkiego ducha Ibuki nie zabiję teraz, ale po powrocie“. Dzikiem wszakże był sam bóg górski, a Jamatodake w ten sposób ominął sposobność pokonania złego ducha w otwartym boju. Umknął też ów w gęste zarośla i stamtąd zdołał na bohatera skierować wszelkie czary swoje. Ten z jednaką odwagą i pewnością siebie wspinał się coraz wyżej i już był niedaleko szczytu, gdy bóg górski spuścił całą nawałnicę lodu. Jamatodake osłupiał, nie mogąc oprzeć się naporowi, i w końcu musiał zabrać się do odwrotu.

Wprawdzie zeszedł szczęśliwie na dół i zdołał omdlałe siły pokrzepić źródłem świeżej wody, która dzięki temu do dzisiaj zowie się ożywiającą, również wyszedł na spotkanie jego dobry duch w postaci psa białego, który mu drogę właściwą wskazał; wszakże poszukiwania jego i pościgi za duchem górskim spełzły na niczem, ominęło go zwycięstwo i przeto zasłużył na utratę życia. Z każdą chwilą stawał się coraz bardziej omdlałym i osłabionym. Gdy dawniej uczuwał się zdolnym sięgnięcia po chmury, teraz skarżył się, że ledwo wlec nogami zdoła, a nawet zgoła odmawiały mu one posłuszeństwa.

Wyczerpany z sił dowlókł się do podnóża Ocu, gdzie jeszcze raz doznał miłego uczucia. Odpoczywał właśnie pod samotną sosną, na tem samem miejscu, gdzie był obozował przy rozpoczęciu wyprawy. Gdy ze smutkiem rozmyślał o tych chwilach, kiedy tu przebywał w pełni sił, wzrok jego naraz padł na miecz, wiszący na konarze sosny. Był to jego własny miecz, który miał z sobą przy

pierwszym pobycie, a który był odpasał i własną ręką zawiesił na drzewie, aby wygodniej odpoczywać.

Nucił teraz, zwrócony ku sośnie:

— Samotna sosno Ocu, dumo kraju tego, ukochana ma siostro! Gdybyś była człowiekiem, mężem, chętnie oddałbym ci ten miecz mój, który tak wiernie przechowałaś, miła, opuszczona siostrzyco!

Gdy chciał odejść, poczuł się bardziej słabym i z sił opadłym niż dotąd. Ujął jeszcze raz lutnię w ręce i zanucił pieśń, pełną tęsknoty do swej drogiej ojczyzny Jamato, której, choć ona tak blizko, nigdy już nie ujrzy. Zaledwo skończył śpiew, skonał.

Natychmiast wysłano do ojca gońca z tą wieścią smutną. Przybyły niebawem żony i dzieci Jamatodakego i wzniosły tu mogiłę w postaci wielkiego kopca, dokoła którego chodziły z płaczem i lamentem. Sam zaś nieboszczyk, po złożeniu go do grobu, zamienił się w olbrzymiego białego kuliga nadmorskiego. Wzbił się on z kopca wysoko w niebo i skierował lot swój ku wybrzeżu. Rodzina usiłowała gonić za nim, ale jej przeszkadzały gąszcze obficie tu rosnących krzaków bambusowych, spozierali więc tylko zdala za nim, wznosząc ku niebu żałośne swe śpiewy. Kulig zatrzymał się chwilę nad samem morzem, zaczem pociągnął wzdłuż wybrzeża i rychło znikł z przed oczu ludzkich.

Cesarz Keiko przeżył syna swego o lat dwadzieścia: po śmierci zaś jego na tron wstąpił jeden z braci zmarłego bohatera, cesarz Zeimu, który wszakże, po długiem panowaniu, pozostawił berło najstarszemu Jamatodakego synowi, Czuai. Od niego poszli wszyscy późniejsi cesarze Japonii, którzy w ten sposób są potomkami w prostej linii ulubionego bohatera ludu.

Dżyngo Kogo.

Ku końcowi II-go wieku ery chrześciańskiej panował w Japonii syn Jamatodakego, cesarz Czuai. Jego to małżonką była Dżyngo Kogo, niewiasta nie tylko mądra i pobożna, ale i żądna wielkich czynów, gwoli których spełnieniu wybraną była przez bogi za narzędzie ich woli. Cesarz zamierzał ukorzyć barbarzyńców wyspy Kiuszju, którzy bunt podnieśli, i przeniósł się przeto do jednego z pałaców owej wyspy, w mieście Kaszyhi. Towarzyszyła mu tam cesarzowa, a krom tego w świcie cesarskiej znajdował się wysoko do dziś dnia przez lud japoński czczony minister Takeuczy, znakomity doradca nie tylko poprzedniego władcy, ale i następnych.

Pewnego wieczoru, gdy cesarz siedział spokojnie w towarzystwie obojga tych ludzi — żony i ministra — i zabawiał się grą wielostrunnego „koto", naraz głos bogów przez usta cesarzowej przemówił do cesarza:

— Na zachodzie, z tamtej strony morza, rozlega się kraina obfita w skarby cudowne i bogactwa. Kraina ta dla ciebie jest przeznaczoną, jest twoją.

Czuai nie dał wiary wyrokowi bogów, lecz drwiąc i szydząc, odezwał się:

— Gdy się wstąpi na najwyższą zachodnich wybrzeży górę, nie widzi się nic krom morza; głos, który przez ciebie przemawia, nieprawdę mówi.

Z temi słowy odepchnął wielostrunny koto od siebie. Zagniewane bogi przemówiły przez usta cesarzowej:

— Nie chcesz być posłuszny rozkazowi boskiemu, przeto nie ty weźmiesz owę krainę wę władanie, usuń się tedy!

Minister Takeuczy wielce się przeraził temi słowy, odezwał się więc do swego władcy i pana:

— Błagam cię, cesarzu, graj dalej!

Ów, ospały, senny i przygnębiony, przysunął ku sobie znów koto, i poruszył na strunach nut kilka, ale coraz słabiej i ciszej, aż dźwięki całkiem umilkły. Przyniesiono światło i ujrzano cesarza martwym.

Zwłoki uroczyście pogrzebano i starannie wykonano wszelkie ceremonie oczyszczenia. Po złożeniu ofiar i zaniesieniu modłów odpowiednich do bogów, zapytał ich Takeuczy jeszcze raz o ich wolę. Odpowiedź brzmiała tak samo jak wpierw wygłoszona przez usta Dżyngo. Sama dostojna bogini słońca Amaterazu potwierdziła ją, dodając, że cesarzowa obdarzy życiem księcia, który z czasem zasiędzie na tronie cesarskim Japonii; wpierw wszakże ma cesarzowa-wdowa ster państwa ująć w swe ręce i natychmiast rozpocząć wyprawę przeciw Korei; przyczem podała przepisy, podług których zarówno jej, jak i innym bogom nieba, a również bóstwom kraju i morza, mają być złożone ofiary. Szczególnie zaleciła ona złożyć hołd owym trzem synom Izanagiego, których on po swojej ucieczce ze świata cieniów podziemnych był stworzył w morzu japońskiem, a mianowicie należy na ich cześć zawiesić na masztach okrętów wojennych poświęcone sztaby z papierem, tudzież powierzyć falom wory z popiołem drzewa cisowego i talerze dębowe z pałeczkami drewnianemi do jedzenia. To wszystko, podług zapewnienia Amaterazu, miało pomyślne sprowadzić następstwa.

To też wszystkie te zlecenia wykonano jak najdokładniej. A gdy flota państwowa miała zdjąć kotwice, cesarzowa, objąwszy naczelne dowództwo nad wyprawą, błagała jeszcze raz bogów, aby jej jeszcze widomy znak swej łaski okazali; mianowicie — miała ona zanurzyć się w falę morską a jeśli po wynurzeniu się z niej włosy jej gładko na równe połowy się rozdzielą, będzie ona uważała to za pomyślną zapowiedź dokonania szczęśliwej wyprawy. Bogowie udzielili jej tej łaski i na tę pamiątkę nosiła ona odtąd włosy swe w takiem uczesaniu.

Przez czas trwania wyprawy była ona zawsze ubrana i uzbrojona po męzku. Z mądrością i przezornością wydawała wszelkie

rozkazy i baczyła na to, aby żołnierze byli należycie zaopatrzeni w niezbędne potrzeby i nie oglądali się na łupy wojenne, a łagodnie postępowali z pokonanym nieprzyjacielem. Gdy flota ruszyła z miejsca, bogowie, zjednani ofiarą, nasłali ogromną mnogość ryb wielkich i małych, które ze wszystkich stron otaczając okręty, sprawiały pomyślny prąd fal morskich; a fale te zaniosły parami żeglujące owe trzy tysiące okrętów z nawą cesarzowej na czele, ku krainie Szyraki, najpiękniejszej i najsilniejszej prowincyi Korei.

Król Szyraki przeląkł się wyprawy i prosił pokornie o zmiłowanie, ślubując cesarzowej stateczne posłuszeństwo i obietnicę przysyłania Japończykom dorocznie daniny w okręcie i rumakach. Dżyngo Kogo przyjęła od niego posłuszeństwo na wierność, jak również od władcy Kudery, innej wielkiej prowincyi Korei, graniczącej na zachód z Szyraki. Na uwiecznienie zwycięztwa zatknęła ona oszczep na bramie rezydencyi szyrackiej i oddała kraj ten pod opiekę trzech bogów morskich, synów Izanagi, którzy podczas żeglugi i podbicia kraju tyle okazali życzliwości, a postawiwszy im świątynię, wracała do domu.

Tymczasem przejęta była troską, aby zapowiedziane przez boginię narodziny księcia — następcy tronu — nie przeszkodziły jej zwycięzkiemu pochodowi. W tym celu wzięła kamień i włożyła go pod pas swój, i w ten sposób przy pomocy bogów opóźniła narodziny o trzy lata. Dziecię, nazwane następnie cesarzem Odżyn, ujrzało światło dzienne dopiero po jej powrocie z Korei, na wyspie Kjuszju, gdzie dotąd przechowuje się ów kamień, który cesarzowa pod pasem nosiła.

Po urodzeniu księcia udała się cesarzowa w podróż do swej rezydencyi w Jamato, w której nie była od czasu śmierci małżonka swego Czuajego. Po drodze doszła ją wieść, że dwaj starsi synowie Czuajego wrogie powzięli zamysły względem jej syna, toć nie bez troski odbywała dalszą podróż. To też jeszcze na wyspie Kjuszju, gdy obozowała nad potokiem i obiad jadła, powzięła myśl zasięgnięcia proroctwa bogów. Zarzuciła wędkę w ów potok, w którym znajdowała się wielka ilość drobnych błękitnawych rybek, zwanych w Japonii Aju; zamiast wszakże używanej zwykłej ponęty, umocowała na haczyku ziarnko ryżowe, mówiąc:

— Jeśli ryba złapie się na tę niezwykłą ponętę, będzie to dowodem, że i tym razem bogowie będą mi łaskawi wśród niebezpieczeństw.

I zaledwo z temi słowy zanurzyła w wodzie wędkę, już się uchwyciła rybka. Teraz dopiero uradowana i uspokojona pomocą bogów cesarzowa puściła się w dalszą podróż.

Wróciły jej wszakże troski na wiadomość, że obadwaj pasierbowie Oszykuma i Kagozaka wiele już ludu na stronę swoją zjednali; przedewszystkiem tedy postarała się o zabezpieczenie życia własnemu synowi. W tym celu rozpuściła wieść, że tenże zaraz po urodzeniu umarł. Okręt żałobny z trumną nadawał wieści tej jeszcze więcej prawdopodobieństwa; w tym wszakże rzekomo żałobnym okręcie cały zastęp wojowników był ukryty.

Obadwaj pasierbowie powzięli tymczasem plan stawić opór przy jej wylądowaniu. Gdy wojsko ich obozowało pod Seten, czekając cesarzowej przybycia Dżyngo, cesarzewicze umyślili pewnego dnia udać się na łowy w błotach okolicznych, nie bez nadziei może wykrycia tam jakich pomyślnych dla się zwiastunów. Ale łowy wypadły nie po ich myśli. Książę Kagozaka natknął się na olbrzymiego dzika i w przestrachu uciekł na dąb; zwierzę wszakże podcięło go kłami, a gdy książę spadł na ziemię, rozerwał go dzik okrutnie. Zmartwiło to brata jego Oszykumę niepomiernie, ale zamiast uznać to za fatalną przestrogę dla siebie, wyruszył tenże na spotkanie cesarzowej. Gdy tedy najpierw przybił do brzegu okręt żałobny i przeciwnicy nic złego nie podejrzewając, przypatrywali mu się, naraz wypadł stamtąd zastęp uzbrojonych wojowników i z zaciętością uderzając na wojsko Oszykumy, spłoszył je i ułatwił wylądowanie reszty rycerstwa cesarzowej. Powstała walka zacięta. Z początku przewagę miały zastępy cesarzowej, waleczny wszakże wódz strony przeciwnej, Izaki, tak dzielny postawił opór, że szale walczących poczęły się równoważyć. Wówczas wódz cesarzowej wykonał dawno ułożony plan podstępu, a mianowicie kazał obwieścić, że Dżyngo Kogo umarła, a on sam z wojskiem swem pragnąłby się poddać; by zaś tej wieści nadać pozory prawdy, żołnierze jego porwali cięciwy swych łuków. Przeciwnicy uwierzyli i złożyli broń. W tej chwili żołnierze cesarzowej z wielką szyb-

kością napięli na nowo swe łuki nawiązanemi z własnych warkoczy cięciwami i uderzyli na przeciwnika, który tym nagłym zwrotem został pobity zupełnie. Oszykuma i wierny wódz jego Izaki powskakiwali do morza, aby tam szukać śmierci.

W ten sposób Dżyngo stała się władczynią Japonii, która jako regentka w imieniu zmarłego małżonka rządziła jeszcze siedmdziesiąt lat, pozostawiając tron synowi, Odżyn Tenno — pod opieką rozumnego i wiernego ministra — Takeuczego.

Oszydori.

Krwawe wojny domowe, które się toczyły między zwolennikami prawowitego cesarza Go-Daigo a stronnictwem możnej rodziny Hojo, posiadającej ważniejsze urzędy i silną władzę w kraju, dały się uczuwać wszystkim i wnikały w głąb najpoufniejszych stosunków wielu rodzin w Japonii, które ponosiły przez to ciężkie straty i doznawały wielu cierpień.

Do takich rodzin należał też dom Jukiego Miczydaty, władcy małego księstwa w Oszju, na północy Japonii. Dopóki trwał pokój, oddawał się on sztukom pięknym i naukom, tudzież z wielkiem zamiłowaniem pielęgnował sztuczne ogrody, w których hodował wielką ilość rozmaitego ptactwa rzadkich gatunków.

Dworzanie i czeladź lgnęli ku niemu, gdyż był to pan łagodny i dobry. Największe przywiązanie okazywał mu rycerz z jego straży przybocznej imieniem Hajato. Codziennie bywając w pałacu, miał on sposobność częstego widywania jednej z panien dworskich księżny, nie uszedłszy też i jej wzroku. Stopniowo wywiązała się sympatya między rycerzem a piękną Kikuno, beznadziejna wszakże na razie, bo młodzi ludzie nie posiadali zasobów do założenia własnego ogniska domowego; całą ufność swoją złożyli więc w ręce bogów, od nich wyczekując pomocy.

Kikuno na równi z swemi towarzyszkami lubiła piękne kaczki, pawie i bażanty, któremi się roił dwór i ogród Jukiego; ale od czasu, jak w sercu uczuła miłość dla Hajata, szczególnemi względemi otaczała kaczki-mandarynki, zwane w Japonii Oszydori, których miłość małżeńska bywa tak silną, że lud często zwie parę takich ptaków mężem i żoną. Kikuno wierzyła mocno, że cokol-

wiekbądź dobrego wyświadczy tym kochającym się czule stworzeniom, przyczyni się to do takiegoż szczęścia jej samej i jej ukochanego. Razu tedy pewnego usilnie go prosić poczęła, aby wyrobił pozwolenie obdarowania wolnością jednej pary Oszydorów, szczególnie do niej przywiązanych. Hajato przy pierwszej sposobności rozmowy z Jukim zwrócił jego uwagę na to, jak jeden z Oszydorów ma główkę smutnie spuszczoną, bolejąc nad utratą wolności. Juki zgodził się na puszczenie go na wolność wraz z jego nieodłączną samicą. Para, wypuszczona z klatek, radośnym okrzykiem powitała lot swój i zdało się dobroczyńcy, jak gdyby okrzykiem tym wypowiedziała wdzięczność dla niego.

Wśród tego życia cichego i spokojnego na zamku Jukiego rozległ się okrzyk wojenny. Cesarz rozesłał wezwanie do wszystkich swoich zwolenników i prawdziwych przyjaciół kraju, aby szli mu na pomoc przeciw Hojom. Gromadziły się zastępy bojowe i Juki nie zwlekał z przyłączeniem się ku nim. Ale czynił to nie z lekkiem sercem, gdyż mu przeczucia niedobrze wróżyły. Dozór nad mieniem i rodziną pozostawił zwierzchnikowi swych dworzan — Takahamie, napominając go przy pożegnaniu do czujności i szczególnej opieki nad małoletnim swym synem Kodżyro.

Obawy Jukiego nie były płonemi; rychło zastępy cesarskie zostały pobite, prawowity władca dostał się do niewoli i szukał ratunku w ucieczce. Między innymi i Juki w boju otrzymał ranę śmiertelną. Wierni jego dworzanie i przyjaciele pochwycili go z pola walki i w największym pośpiechu podążali z nim ku zamkowi jego — w nadziei, że zdoła jeszcze na tyle życia zachować, aby wydać ostatnie rozporządzenia przedzgonne. Ale niestety skonał na ręku Hajata, który pocieszał umierającego, że dochowa niezmiennej wierności synowi jego — Kodżyro. Tyle tylko zdołał jeszcze Juki przemówić, że zaklął się szukać zemsty na Hojach nawet po śmierci i że duch jego dopóty się nie uspokoi, dopóki nie będzie świadkiem ich upadku.

Gdy orszak żałobny przybył na zamek Jukiego, zastano tu wszystkich w wielkiej obawie, troskach i niepokoju. Brat Jukiego — Hiogo — skorzystał z zamętu państwowego i śmierci Ju-

kiego, aby przywłaszczyć sobie mienie jego. Sam od udziału w walce chytrym sposobem wstrzymywał się tak długo, aż spostrzegł — na czyją stronę chyli się zwycięstwo i wnet po porażce cesarskich pospieszył z okazaniem swej uległości Hajowi, za którego też przyzwoleniem zawładnął zamkiem Jukiego, gdzie w najlepsze rozgospodarował się, bez żadnych względów dla siostrzeńca swego — Kodżyro. Gdy zaś teraz, za przybyciem Hajata i reszty świty Jukiego — spostrzegł wiarołomca, że zjawia się niespodziany dla Kodżyra sukurs, postanowił czemprędzej pozbyć się wchodzących mu w drogę. Przeciw Hajatowi wybuchnął z największą nienawiścią. Już w pierwszych chwilach przyjazdu swego na zamek, spostrzegłszy tu piękną Kikuno, zapałał ku niej szaloną namiętnością. Wprawdzie dziewczyna z całą stanowczością odepchnęła zaloty jego, ale on nie tracił nadziei, że potrafi przełamać jej opór — dopóki nie zauważył porozumienia się między nią a Hajato. Szybko skorzystał z tego, obwiniając ich o zdradę, a że sam miał być też sędzią ich, los nieszczęśliwych z góry był wiadomy. Skuci łańcuchami stali oboje na podwórzu zamkowem w oczekiwaniu na spełnienie wyroku śmierci. Już siepacze Hioga przygotowywali się uciąć głowę najpierw Kikunie, a po niej Hajatowi, aby okrutnik mógł się nasycić widokiem bólu kochanka przy śmierci ukochanej, gdy naraz posłyszano gwałtowne kołatanie do bramy zamkowej.

Był to posłaniec nagląco żądający zobaczenia Hioga. A gdy stanął przed nim, oznajmił, że przybywa w imieniu wspólnego ich pana i władcy — głowy rodu Hojów, któremu urodził się spadkobierca i dziedzic, a gwoli tego radosnego wypadku rozkazuje władca kraju, aby wszystkim przestępcom i obwinionym o jakąkolwiek bądź zbrodnię w całym kraju życie i wolność darowano. Zgrzytając zębami, musiał się poddać Hiogo rozkazowi swego pana natychmiast, nie śmiejąc w obecności wysłańca okazać mu nieposłuszeństwa. Natychmiast też rozwiązano Kikunie i Hajatowi więzy i puszczono ich na wolność. Wysłaniec był tak troskliwy o spełnienie rozkazu, że czekał, aż ci przeszli za bramę zamkową, zaczem udał się w ślad za nimi i odprowadził ich do najbliższego lasu. Gdy wszakże przybyli tam i uczuli się bezpiecznymi od po-

ścigu, z niewymownem zdziwieniem posłyszeli z ust wysłańca, że nie jest on tym, za którego go mają, jeno jednym z Oszydorów, owym kaczorem mandarynką, który wraz z samicą swoją za ich staraniem był ongi obdarowany wolnością i za doznane dobrodziejstwo teraz się w ten sam sposób wywdzięcza. W tym celu uciekł się do podstępu, przybrał na się postać wysłańca władcy kraju, byle obecnością swoją uratować ich oboje od hańby i śmierci. Muszą się oni teraz strzedz i unikać tyrańskiego Hioga a przedewszystkiem skorzystać z wyzwolenia i swego prawowitego pana— młodego Kodżyra — wyrwać z szpon mściwego stryja. Po tych słowach wysłaniec napowrót stał się kaczorem i odleciał stamtąd.

Gdy Hajato i Kikuno szukali teraz bezpiecznego schroniska, skądby mogli zawiadomić Kodżyra, okrutny Hiogo dopuszczał się zbrodni za zbrodnią. Wprawdzie nie śmiał jeszcze targnąć się na Kodżyra, ale przez oszczercze posądzenie Takahamy, owego zarządcy Jukijowego, o występny stosunek z wdową po Jukim, zniewolił onego do rozprucia sobie brzucha, poczem w okrutny sposób kazał i bratowę zamordować. Więziony przezeń Kodżyro musiał własnymi oczyma patrzeć na te okrucieństwa w obawie, że lada dzień i jego ten sam los spotkać może.

Zjawił się wreszcie wysłaniec od Hajata i Kikuny, którzy tymczasem znaleźli byli schronienie u poczciwych chłopów, kryjąc się tam przed pościgiem Hioga. Pewien też chłop stamtąd podjął się poselstwa do Kodżyra, aby mu ułatwić ucieczkę, a ponieważ chłopskie jego stanowisko nie budziło podejrzeń, toć i poselstwo jego udało się szczęśliwie. Kodżyro uciekł do Hajata i Kikuny, gdzie pod wierną ochroną mógł swobodniej odetchnąć i nieco przyjść do siebie po doznanych cierpieniach. Przez długi czas niepodobna było znaleść sposobu odwetu na złoczyńcy, aż nareszcie, za wolą bogów, zjawił się w okolicy pewien mąż z Szykoku, imieniem Hagju Joszy. Podróżując po kraju, ocknął się on wśród gęstych borów posiadłości Jukiego, gdzie go pewnego razu noc zaskoczyła w puszczy. Tu, gdy się kłopotał nad sposobami uniknięcia dzikich zwierząt, zjawił się przed nim w czarnych szatach kapłan z otuchą i zarazem oznajmieniem, że ma mu coś ważnego do po-

kazania. To mówiąc, zaprowadził Joszego na wzgórze, gdzie ów ujrzał bramę żelazną, której przedtem nie dostrzegał. Za uderzeniem w nią różdżki kapłańskiej rozwarły się podwoje i Joszy w głębi ujrzał złe duchy, w okropny sposób dręczące pewną duszę ludzką. Przelękniony i zdumiony spojrzał on na kapłana, jakby pytając o wyjaśnienie tej zagadki; a kapłan mu rzekł na to, że to jest dusza Jokiego, która spokoju znaleść nie może wobec przysięgi, wykonanej w chwili konania; że przeto jest wolą bogów, aby mu okazano pomoc, a jeśli Joszy chce się podjąć tego zadania, to niech odszuka syna Jukiego i niech podnieci go do walki z prześladowcą i pomsty na nim. Joszy przyrzekł a gdy go kapłan z góry sprowadził, a już świtało, mógł ów puścić się w dalszą drogę.

Pobożny i dbały o spełnienie przyjętych zobowiązań Joszy udał się niezwłocznie na zamek, który do Jukiego należał, i tu się dowiedział, jako Hiogo zawładnął nim i tak prześladował synowca, że tenże musiał szukać ratunku w ucieczce. Poprzestał więc dobry człowiek na pomodleniu się u grobu Jukiego i złożeniu mu wonnej ofiary. Czyniąc to wszakże, posłyszał nagle żałośnym głosem wymówiony początek jakiegoś wiersza. Zdumiony niepomiernie, starał się zachować w pamięci słowa usłyszane i dokończyć strofkę rozpoczętą, a gdy mu się to udało, odpowiedział owemu głosowi końcem rozpoczętego wiersza. Na to rozległ się znów ten sam z grobu głos, ale już tonem pełnym nadziei:

— Błogo mi, to mi zapowiada rychłe wybawienie! Wiedz przychodniu, że jestem duchem Jukiego, zmarłego zamku tego pana, bezustannie dręczonego przysięgą zemsty, złożoną w chwili konania, a której wykonanie zdawało się dotąd niemożliwem. Jakby na stwierdzenie tego — złe duchy, dręczące mię, wyły mi wciąż ów nieskończony wiersz, który zacząłem tworzyć, gdy mię zaskoczył rozkaz cesarza, wzywający mię do walki przeciw Hojom. Teraz ty ten wiersz dopowiedziałeś, i to jest pierwsza pomyślna wieść, której zaznaję od czasu śmierci, tyle nieszczęsnej dla mego domu. Dzięki ci, przychodniu. A jeśli chcesz dalszą mi pomoc okazać, to wiedz, że mój duch nie ustanie być dla ciebie ochroną życzliwą.

Joszy puścił się teraz ze zdwojoną gorliwością w drogę dla odszukania Kodżyra, a szczęśliwy traf zrządził, że rychło spotkał Kikunę. Długiego potrzeba było czasu, aby ta okazała zupełne zaufanie nieznajomemu, który wszakże stopniowo zdołał rozpröszyć jej obawy tak, że go zaprowadziła do Kodżyra i Hajata. Gdy Joszy opowiedział cudowne swe spotkanie z duchem Jukiego, żaden z nich już nie wątpił o rychłej pomocy bogów, i Kodżyro zdecydował się wyjść z swej kryjówki i udać się do zastępów rycerskich, które właśnie w tymże czasie gromadził dla cesarza wódz jego Kuzunoki.

Gdy Kodżyro tu przybył, zastał już sporo rycerstwa, gdyż i waleczny Nitta Joszyzada przystąpił ku sprawie cesarskiej. Do niego właśnie udał się najpierw Kodżyro i użalił się na niecne i zdradzieckie postępowanie stryja, opowiedziawszy mu szczegóły zamordowania matki. Wódz przyrzekł mu zwrot dóbr ojcowskich i upoważnił go do pomsty na stryju dowolnej. Zaczem Kodżyro wstąpił w szeregi zastępów cesarskich, gdzie rychło dokazał cudów waleczności. Wielu z wodzów strony przeciwnej uśmiercił własną ręką, a sam pozostał nietkniętym; świadomość, że duch ojca czuwa nad nim, podniecała go do czynów coraz waleczniejszych.

Nareszcie rozstrzygnął się bój stanowczy pod Kamakurą. Kodżyro, nasycony krwią nieprzyjaciela, wracał z pewnością, że wywalczył spokój duszy ojca. Teraz spełnić należało nie mniej święty obowiązek pomszczenia śmierci matki. Nie było to wszakże zadanie zbyt łatwe. Hiogo cały dotąd czas wyzyskał w ten sposób, aby zgromadzić dokoła siebie ludzi jak najbardziej mu oddanych, a że już więcej liczyć nie mógł na poparcie ze strony Hojów, obwarował tak zamek, aby zdaniem jego mógł się oprzeć natarciu Kodżyra. Bezradnie więc stała na sąsiedniem wzgórzu garstka zwolenników prawowitego dziedzica wraz z Hajatem i Kikuną, a nikt z obecnych nie mógł się zdobyć na plan skutecznego pobicia przywłaszczyciela. Ale niedaleko znajdował się wierny ich przyjaciel Oszydori, który spostrzegłszy niemoc Kodżyra i jego zwolenników, postanowił jeszcze raz przyjść im z pomocą. Przemienił się tedy i teraz w wysłańca i zakołatał do wrót Hioga, żądając natychmia-

stowej z nim rozmowy. Zaprowadzony przed niego, odezwał się w te słowa:

— Przybywam od pięknej Kikuno, dla której powziąłeś był miłość w owych czasach, kiedyś po śmierci brata wszedł we władanie zamku tego. Poleciła mi ona ci powiedzieć, że wzruszona twojem uczuciem i stałością, pragnie być twoją, ale pod warunkiem, jeśli przyrzekniesz poślubić ją za małżonkę prawowitą. Wówczas ze swojej strony przystanie ona na to, aby ci wydać Kodżyra i Hajata.

To mówiąc, okazał różne przedmioty od Kikuny, mające uwierzytelnić jego posłannictwo, które wszakże były złudzeniem, wywołanem sztuką jego czarnoksięską. Zdrajca dał mu wiarę i przyrzekł stawić się na tem miejscu, gdzie nań potajemnie czekać miała Kikuna. Teraz zaś pośpieszył Oszydori do Kikuny i opowiedział o swych zabiegach. Kikuna, zawzięta na zdrajcę za siebie i swoich blizkich, w postanowieniu ukarania go własną ręką uzbroiła się w sztylet i udała się na miejsce schadzki w lesie. Gdy nadszedł Hiogo, rzuciła się nań i utopiła mordercze żelazo w gardle jego...

Kodżyro, odzyskawszy dziedzictwo swych ojców, podniósł Hajata i Kikunę do zaszczytów i przez całe życie okazywał im wdzięczność. Okazano też cześć dla Oszydori, sporządzając w sąsiedniej świątyni tablicę pamiątkową z wizerunkiem jego i jego samicy a gdy co roku odbywała się uroczystość i pobożni Japończycy święcili ją przez kupno i obdarowanie wolnością różnych zwierząt, nie omieszkali ani Kodżyro, ani Hajato z małżonką, wypuszczać pewnej liczby Oszydorów na wolność.

Dziwne przygody Hangwana i Teruty.

Gdy Szogun Joszynoki po śmierci ojca otrzymał w spuściznie najwyższą od cesarza władzę w państwie, przebywał na dworze jego znakomity i wysoce poważany książę Moczyudży, któremu gwoli waleczności i zdolności jego poruczył Szogun gubernatorstwo miasta Kamakury. Gdy tam z dóbr swoich się przeniósł, wśród ogólnego poważania niebawem zachorował ciężko i beznadziejnie, trapiony troską konieczności zostawienia wdowy i jedenastoletniego syna bez opieki w chwili, gdy go bogowie raczą na tamten świat powołać. Leżąc na łożu śmiertelnem, wezwał do siebie — krom swej małżonki z synem — też niejakiego Jokojamę, najstarszego intendenta swego, i zaklinał go na wszystkie świętości, aby wiernie i troskliwie czuwał nad małoletniem książątkiem Keszwomaru, synkiem jego, a sumiennie zarządzając pozostałemi dobrami, oddał mu je w całości, gdy przyjdzie do lat pełnych i sam będzie w stanie zarządzać niemi.

Jokojama złożył na to ślub uroczysty umierającemu, zaczem Moczyudży spokojnie usnął na wieki, nie przeczuwając wcale złych zamysłów opiekuna, a jeszcze bardziej syna tegoż — Sabura, zręcznego żołdaka, ale chytrego i okrutnego. Ten Saburo, nadużywając stanowiska ojcowskiego, ubiegał się o rękę jednej z panien fraucymeru księżny, pięknej Teruty. Ale niespodzianie spotkał się z oporem. Dziewczyna, pogardzając nim i mając wstręt do niego, błagała rodziców, aby jej mu nie oddawali, tembardziej że — jak się im przyznała, — była zakochana w innym, młodym Hangwanie, i czuła, że posiadała wzajemność tegoż. Waleczny, stary wojak Tone Maguroku, ojciec Teruty, był po stronie córki, czując zaró-

wno wstręt do Sabura a życzliwość dla Hangwana. Toć przyjął chętnie oświadczyny jego i przyzwolił na ich zaręczyny.

Tem się właśnie uczuł Saburo najmocniej dotknięty i zaprzysiągł zemstę krwawą Hangwanowi. Będąc wszakże za tchórzliwym do zmierzenia się z nim w walce otwartej, czatował nań nocną porą i gdy razu pewnego Hangwan niedostatecznie uzbrojony wracał do domu od swojej narzeczonej, wyskoczył Saburo z zasadzki i rzucił się nań z zamiarem łatwego zamordowania. Hangwan wszakże nie stracił przytomności umysłu, wyciągnął pośpiesznie krótki swój miecz, który miał przy sobie, i tak śmiało natarł na lepiej uzbrojonego przeciwnika, że rychło by się z nim był uporał, gdyby nieszczęście nie sprowadziło Tone Maguroku w tej chwili. Ten, słysząc szczęk oręża, wybiegł z domu w obawie, ażali zięć jego nie jest w niebezpieczeństwie, a gdy się przekonał istotnie o tem, rzucił się na oślep na napastnika; ale ów, zręcznie odskoczywszy, ciął nierozważnego Tona w bok tak nieszczęśliwie, że ten, śmiertelnie ugodzony, padł na ziemię. Ze zdwojoną wściekłością natarł teraz Hangwan na Sabura, który przestraszony szukał ratunku w ucieczce, co mu się też udało, bo się w kryjówce skalistego wybrzeża niedaleko płynącej rzeki tak schował, że wszelkie usiłowania Hangwana odszukania go spełzły na niczem.

Hangwan, w rozpaczy, w pierwszej chwili sam się chciał życia pozbawić, widząc, że nie mógł pomścić śmierci teścia, który za niego żywot położył. Lecz któżby w takim razie wykonał obowiązek pomsty, podwójnie teraz nieodzownej dla niego? Jeżli zostanie przy życiu, może jeszcze cieszyć się nadzieją, że ostatecznie nadarzy mu się sposobność odwetu na nikczemniku, gdy przeciwnie w razie własnej śmierci pozostawi dwie drogie mu a bezbronne kobiety na ofiarę i urągowisko Sabura. W wielkiem więc przygnębieniu poszedł do Teruty i jej matki, i opowiedział całe zajście. Kobiety niemal odchodziły od zmysłów na tę wiadomość, ale po chwilach bólu i żałoby przejęły się całe żądzą zemsty, błagając Hangwana, aby nie ustawał w swych zamysłach i pomógł im w spełnieniu ciężącego na nich obowiązku, przy którem gotowe życie swoje poświęcić, byle pomścić śmierć męża i ojca, tyle dla nich drogiego. Hangwan nie podzielał nadziei ich rychłego odwetu:

smutne przeczucia zawładnęły duszą jego, które też wkrótce zaczęły się ziszczać.

Nikt inny nie miał przeprowadzić dochodzenia o zamordowaniu Tona Maguroku i wyrokować o winie, jeno właśnie Jokojama, ojciec Sabura. A wyrok ten brzmiał wielce surowo dla Hangwana i osieroconych kobiet. Hangwan — brzmiało w wyroku, — zaniedbał poszukać odwetu śmierci swego towarzysza broni, który za niego zginął, i przeto, jako człowiek nieuczciwy i niehonorowy, został wykluczony z zastępu rycerstwa i z grona swych towarzyszy, i musiał jako włóczęga, jako tak zwany przez Japończyków „roszin", być skazany na wygnanie i tułaczkę. Wdowie wprawdzie i córce nie można było odmówić prawa szukania pomsty za śmierć męża i ojca, ale wbrew wszelkiemu prawu i sprawiedliwości uznano je za niegodne pozostawania nadal w usługach i na dworze księżny, aż spełnią one obowiązek pomsty. W ten sposób pozostały obie bez dachu i środków do życia, co tembardzej było dla nich dotkliwe, że nie mogły myśleć o rychłem wykonaniu obowiązku zemsty, gdyż Saburo tymczasem umknął i skrył się do nieodszukania.

Pocieszali się jak mogli ci troje nieszczęśliwych. Nie zaniechawszy planów swych przeciw Saburowi, a jeno je odroczywszy, wynieśli się zupełnie z dotychczasowych siedzib. W oddalonej wiosce, a w pobliżu wybrzeża morskiego, znalazłszy schronisko, obiecujące im bezpieczeństwo, rozpoczęli stamtąd gorliwe poszukiwania Sabura. Po wielu bezskutecznych próbach dowiedzieli się, jakoby widziano łotra tego w niedalekiej prowincyi Suruga, a gdy wieść ta kilkakrotnie się powtórzyła ze strony wiarogodnej, Hangwan puścił się za nim w drogę, przebrany za żebraka do niepoznania.

Saburo wszakże był biegłym w różnego rodzaju pomysłach i podstępach. Toć fałszywą tylko rozpuścił wieść o rzekomym pobycie swoim w Suruga, naprawdę jednak przebywał tuż w pobliżu i użył powyższej wieści, aby łatwowiernego Hangwana wywabić i pozbyć się go. Jakoż wieczorem tego samego dnia, w którym Hangwan puścił się w drogę, pomknął ów na czele sześciu zbirów do pomieszkania kobiet. Towarzysze obsadzili wszystkie

wyjścia, a on sam wszedł do wnętrza domu i z całą bezczelnością oznajmił, że przybył porwać gwałtem Terutę. Obie kobiety rzuciły się do mieczów, które trzymały w pogotowiu, i odważnie natarły na gwałtownika. Ten wszakże był przygotowany na czyn taki, i odpierając ataki kobiece, wezwał do pomocy swych ludzi, którzy wpadłszy do izby, porwali Terutę, obalili ją, związali i uwiedli, on zaś sam już bez trudu zadał matce cios śmiertelny.

Działo się to w chwili, gdy kobietom przybywała pomoc, która omalby ich była nie uratowała. Hangwan bowiem do południa tylko dnia tego tropił przeciwnika, a dowiedziawszy się na pewno, że tenże przebywa w pobliżu, niezwłocznie powrócił, ale, niestety, za późno; zastał już tylko matkę broczącą we krwi, a blizką zgonu; miała jeszcze tyle siły, że mu opowiedziała, co zaszło i zaklęła do pośpieszenia za córką. Wybiegł też on natychmiast za zbójami i mimo ciemności trafił na ich ślad, za którym śpiesząc, dotarł aż ku wybrzeżu morskiemu. Tu wszakże zdala tylko dostrzegł, jak złoczyńcy wskakiwali do łodzi, unosząc z sobą związaną Terutę. Już odbili od brzegu, a gdy on tu dobiegł, widział, jak łódź walczyła z falami, które miotały nią, zmącone właśnie w tej chwili powstałą burzą. Hangwan, gotów życie poświęcić dla uratowania Teruty — napróżno błagał będących na wybrzeżu wioślarzy, aby go przewieźli, albo przynajmniej użyczyli mu łodzi; żaden nie chciał przystać na to, gdyż burza szalała coraz bardziej.

Strapiony, powrócił nieszczęśliwy do teściowej, którą już zastał martwą, i zadowolnił się tem tylko, że jej ostatnią oddał posługę żałobną.

Teruta, leżąc na dnie łodzi, dokąd ją cisnęli złoczyńcy, i wiedząc, że nie ujdzie ich napaści, uciekła się do podstępu. Udała więc pokorę, wyznała, że musi się poddać losowi nieuniknionemu, zgodzi się być żoną uwodziciela i prosi przeto, aby ją zwolnił z więzów. Stało się zadość jej prośbie. Zaledwo wszakże uczuła swe ręce wolnemi, wyrwała Saburze szablę jego i rzuciła się nań z wielkim impetem. Niestety, zabrakło jej sił do zabicia go lub przynajmniej ubezwładnienia ciosem skuteczniejszym. Toć udało mu się rychło pokonać ją, odebrać broń i rzucić się z zamiarem zadania jej ciosu śmiertelnego. Ale w tej chwili, zapewne wskutek

szamotania się, łódź się wywróciła i wszyscy wpadli do morza, pochłonięci przez fale wzburzone. Teruta ujrzała blade, zagniewane oblicze ludzkie, nadziemskim blaskiem otoczone, drgające wśród bałwanów rozhukanych morza; i była już pewną śmierci i obecności tu jej ducha, który burzę wzniecił, by odwrócić śmierć od dziewczyny. Na widok ten zaledwo zdołała wydać okrzyk, który zagłuszył nawet ryki fal, i straciła przytomność, a gdy ją odzyskała, już była na stałym lądzie. Rybacy, którzy przed nadciągającą burzą byli uciekli na brzeg, słyszeli ten okrzyk, a gdy jedna z fal pchnęła ją w ich pobliże, pośpieszyli z ratunkiem.

Saburo również dostał się na ląd przy pomocy kawałka drewna z roztrzaskanej łodzi, natomiast wszystkich towarzyszy jego morze pochłonęło na zawsze. Ale i tak potrzebował sporo czasu, aby wylizać się z ran otrzymanych i nabrać sił po utracie krwi.

Tymczasem Jokojama, nieodrodny ojciec Sabura, knował dalej plany zniszczenia młodego księcia Keszwomaru, oddanego mu w opiekę przez ojca, i zawładnięcia majątkiem jego. Sprzymierzył się on w końcu z pewnym złośliwym czarownikiem i za pośrednictwem jego wszelkiego rodzaju sceny piekielne wyprawiał nieszczęśliwemu księciu. Po całych dniach dręczono go strachami, od których się rozchorował chłopiec i ocknął się w stanie rozpaczliwym. Nieraz zdarzało się, że nawet straż, otaczająca go, płoszyła się i strachała od ustawicznych huków i błyskawic, wśród których rozlegały się krzyki i wołania rozpaczliwe księcia o pomoc przeciw niewidzialnym prześladowcom.

Pomiędzy rycerzami owej straży znajdował się też Hangwana ojciec — Oguri, który mimo wszelkich zabiegów Jokojamy usunięcia go pozostał wiernie na swem stanowisku, troszcząc się nieustannie o to, aby czuwać nad księciem i wyzwolić go z zasadzek. Jakoż, czuwając pilnie, zauważył on, że owe huki i błyskawice szły z jednego wciąż kąta izby. Skoro tedy przychodziła nań kolej nocnej służby, nie spuszczał oka z owego kąta i raz dostrzegł, jak z oparów i ognia wydobywało się widziadło, mające postać i rysy młodego księcia, na którego rzuciło się ono i poczęło nim potrząsać. Oguri poskoczył w to miejsce, ale chociaż słyszał rozpaczliwe wołania księcia, nie zdołał odróżnić odeń owego widziadła, tak

łudzącem było podobieństwo. By temu raz koniec położyć, pochwycił on jedno z dwojga na chybił trafił; ale to właśnie był książę, a widziadło uleciało w górę, obrzydliwie wyszczerzając doń stamtąd zęby. Na nalegania wszakże Oguriego przeszukano ów kąt tajemniczy, skąd wychodził zły duch, i znaleziono tam bałwana ze słomy w szatach księcia, który widocznie na mamidło jego było zaczarowany i, by tem skuteczniej odbywało się dręczenie, był ze wszech stron poprzekłówany dużemi igłami. Gdy zniszczono bałwana tego, książę wnet uczuł ulgę.

Gdy wszakże wypadek ten doszedł do wiadomości Jokojamy, skazał on natychmiast Oguriego na śmierć za to, że bez upoważnienia i w sposób nieprzystojny przystąpił do łoża swego pana i nawet zuchwale targnął się nań ręką. Oguri umarł śmiercią nieustraszonego żołnierza: rozpruł sobie brzuch, a jeden z jego towarzyszy — jak to jest we zwyczaju — odciął mu głowę, aby skrócić mu męczarnie. Wdowa po nim, matka Hangwana, na tę wiadomość z rozpaczy sama siebie życia pozbawiła.

Oguri wszakże przed zgonem ślubował głośno, że od tej pory jako duch będzie bezustannie czuwał nad swoim młodym panem, aby unicestwić zamysły ich obu nieprzyjaciela. Jakoż wykonywał to przyrzeczenie sumiennie i ilekroć Jokojama uciekał się do swych czarów, złe duchy nie miały mocy szkodzenia księciu Keszwomaru: cień Oguriego nie odstępował go na krok i udaremniał każdy zamach.

Jeden z wiernych sług podjął się zanieść Hangwanowi wiadomość o śmierci rodziców i o nowym czekającym go obowiązku pomsty. Ale długo to trwało, zanim go odszukał, gdyż Hangwan po owem rozbiciu się łodzi w nocy i dowiedzeniu się, że Saburo uratował się, błądził z miejsca na miejsce w ustawicznej nadziei, że nareszcie napotka swego wroga i z nim się rozprawi. Nie wiedział on o tem, że i Teruta uratowaną została, ale głos wewnętrzny powiedział mu, że musi być jeszcze przy życiu, toć gorliwe czynił i za nią poszukiwania. W ten sposób dostał się do prowincyi Owari, gdzie Saburo miał wielu krewnych i gdzie ów przeto łatwo go mógł napotkać, znalazłszy przytułek w domu starego przyjaciela Utajemona, który był dostatnim ziemianinem w pobliżu

Macukazy. Tu znalazł bezpieczeństwo, tu nareszcie mógł Hangwan odrzucić z głowy duży o wielkich kresach kapelusz, jaki noszą zwykle zbiegli żołnierze, roszinowie, i spokojnego wczasu zażywać w towarzystwie Utajemona i córki jego Uzujuki. Rychło tak przylgnęli do siebie wzajem, że Utajemon zaproponował mu, aby na zawsze tu zamieszkał i został zięciem jego, tembardziej że piękna Uzujuki przejęła się gorącem dla Hangwana uczuciem. Napróżno ów przekonywał, że nie jest wolnym, że poślubił wierność Terucie, i że nadto cięży na nim obowiązek pomsty. Wszystko to nie zmniejszyło miłości dlań dziewczęcia, które, wzdychając dzień i noc, zapadało w coraz większą tęsknotę.

Tymczasem goniec, mający zwiastować Hangwanowi śmierć rodziców jego, przybył również do prowincyi Owari i tu spotkał się z Terutą, która też szukała Hangwana. Oboje wyruszyli teraz w dalszą wędrówkę i nareszcie pewnego wieczoru dostali się do domu Utajemona. Mimo strapienia Uzujuki na widok szczęśliwej spółzawodniczki przyjęto ich gościnnie i przyjaźnie, i właśnie Hangwan i Teruta zaczęli sobie wzajem opowiadać doznane przygody, gdy nowe nieszczęście spadło na nich, znów za poduszczeniem śmiertelnego ich wroga — Sabura. Śledząc bacznie za wszystkiem, dowiedział się on był, że były sługa ojca Hangwanowego znikł z dotychczasowego miejsca pobytu, domyślił się więc, że musiał udać się w ślady Hangwana. Niebawem też po przybyciu Teruty zbirowie Sabura, cały oddział żołdaków, napadli na dom Utajemona i zaczęli gwałtownie kołatać do zamkniętych na noc drzwi. Gdy Utajemon wyjrzał, cały dom był przez nich otoczony. Każdy trzymał latarkę w ręku i baczył pilnie, aby nikt z domu nie umknął. Dwaj czy trzej żołdacy podeszli bliżej i zażądali natychmiastowego wydania im Hangwana, jako wroga ich pana, w przeciwnym razie grozili zapaleniem domu. Gdy Hangwan, Teruta i sługa ich ukryli się, Utajemon napróżno przekonywał grożących, że w domu nikogo nie ma, napróżno oświadczał się z gotowością pokazania im wszystkich tegoż zakątków. Żołdacy upierali się przytem, że Hangwan być tu musi i odgrażali się coraz natarczywiej. Utajemon, dla odwrócenia ciosu od swoich gości, uciekł się do postanowienia rozpaczliwego.

— Dobrze, poczekajcie — zawołał do żołdaków — wydam wam głowę Hangwana.

I to rzekłszy, udał się do swej córki:

— Jeśliś gotowa życie swoje złożyć w ofierze za ukochanego — odezwał się do niej — to właśnie teraz jest sposobność po temu. Innego sposobu uratowania go nie ma. Życie twoje, a z niem i moje, i bez tego nie wiele nam zapowiada radości, umrzyjmy więc razem; gdyż jeśli teraz poświęcisz się za Hangwana, ratując go, ja nie omieszkam pójść za tobą do grobu.

Uzujuki nie wahała się ani chwili: przerznęła sobie natychmiast gardło, a Utajemon, oderwawszy jej głowę od tułowia, wręczył ją jednemu z żołdaków, który ją schował do worka i oddalił się wraz ze wszystkimi towarzyszami.

Zgnębiony, z sercem złamanem, Utajemon chciał teraz znajdujących się w ukryciu przyjaciół zawiadomić o ich wyratowaniu, bez wspominania wszakże — jaką ceną opłacone zostało ich życie. Ale Teruta z przerażeniem widziała go, jak głowę krwawą wręczał żołdakom, i nie wątpiąc o tem, że to musiała być głowa Hangwana, wyskoczyła w rozpaczy i szale z ukrycia ze słowami oburzenia i wzgardy ku Utajemonowi za zdradzenie gościnności wobec człowieka, który z całem zaufaniem szukał u niego przytułku; a nie dając mu przyjść do słowa, rzuciła się z mieczem na niego; jednocześnie wybiegł służący, który słyszał jej słowa wyrzutów, i pomógł jej zabić Utajemona. W tej chwili wszakże zjawia się Hangwan, nie wiedzący nic o tem, co zaszło. Wszyscy skamienieli z przerażenia. Więc to nie była żadna zdrada: Hangwan żył nienaruszony! Teraz dopiero wyszło na jaw — czyje życie złożył w ofierze Utajemon i jak mu zaźle odpłacono. Teruta stała w rozpaczy przed konającym i przyszedłszy do siebie, jęła go błagać o przebaczenie. Ten nietylko uniewinniał ich omyłkę i przebaczył wszystkim, ale rzekł nawet, że chętnie umiera, spłacając w ten sposób córce dług wdzięczności, po zniewoleniu jej także do takiej ofiary. A obowiązek onej obustronnej wdzięczności istniał, gdyż i ojciec Hangwanowy uratował był go niegdyś od śmierci w podobnym wypadku z narażeniem własnego życia. Biedna Uzujuki

chętnie i radośnie poddała się śmierci, kochając beznadziejnie Hangwana. Teruta, upokorzona taką szlachetnością, zawołała:

— Nie miej żalu do mnie odchodzący duchu! Przyrzekam ci, że jak ja tu na ziemi miałam pierwszeństwo przed tobą, tak ciebie na tamtym świecie uznawać będę za pierwszą, prawowitą małżonkę Hangwana.

W tej chwili zadźwięczały struny „koto“, na którym Uzujuki zwykła była wygrywać swe skargi i tęsknoty, na dowód, że duch nieszczęśliwej dał się przebłagać i przyjmuje ofiarę Teruty.

Bez zwłoki i wytchnienia musieli teraz oboje ci nieszczęśni ludzie wraz z gońcem, który się do nich przyłączył jako trzeci towarzysz — opuścić dotychczasowe swoje schronisko i uciekać w góry i lasy na tułaczkę, pełną nędzy i utrapień. Na domiar ciosów zachorzał niebawem w drodze Hangwan tak ciężko, że nie był w stanie poruszać się i odbywać podróży. Teruta wraz ze służącym sporządziła wózek z desek na kółkach, na którym go powoli wlekli do Kumano, gdzie w tamtejszych kąpielach siarczanych spodziewali się znaleźć ulgę choremu. W miejscowościach, przez które przechodzili, służący zabawiał ludzi sztukami kuglarskiemi, w których dawniej był się wyćwiczył, i w ten sposób zarabiał trochę grosza, potrzebnego im do życia. Nareszcie przybyli do uzdrowiska, ale Hangwan wciąż kulał i nawet wówczas, gdy Teruta stanęła pod wodospad jako pokutnica, aby wybłagać u bogów miłosierdzia, nie następowało polepszenie w zdrowiu.

Jak na toż — nieubłagany ich wróg — Saburo, wytropiwszy ich pobyt i przekonawszy się o spełznięciu na niczem wszelkich dotychczasowych swoich zakusów, postanowił bądź co bądź teraz zakończyć swą sprawę i czatował na sposobność. Wózek, na którym Hangwana ciągnął służący w towarzystwie Teruty, został w odosobnionem miejscu zaskoczony przez ludzi ukrytych w zasadzce. Służący, jako dobrze uzbrojony, zmusił ich do ucieczki, ale goniąc za nimi, dał się zapędzić za daleko i odwlec od swych panów, którzy pozostali sami. Wówczas wyskoczył Saburo z za krzaków, rzucił się ze złorzeczeniami na Terutę i mimo jej oporu przywiązał ją do drzewa, aby następnie przed jej oczyma dokonać mordu na Hangwanie. Chory wzniósł

wówczas ku niebu swe drżące, niemocne ręce i błagalnym głosem wołał o zlitowanie:

— Duchy moich biednych, niewinnie pomordowanych rodziców, duchy pognębionych przez tego potwora rodziców Teruty, przyjdźcie mi z pomocą i dozwólcie dokonać pomsty nad nim. Wszystko gotów jestem wycierpieć na przyszłość, bylem łaskę waszą otrzymał w tej chwili!

I oto naraz uczuł siłę w swych członkach. Był w stanie zeskoczyć z wózka, pochwycić miecz, który przy nim wożono, i rzucić się na Sabura, który z podziwu i strachu zdrętwiał. Obalił go Hangwan na ziemię, a Teruta, której więzy tymczasem rozluźniły się, nadbiegła i mieczem Hangwanowym ucięła zbrodniarzowi głowę. Oboje złożyli modły dziękczynne duchom rodziców i jako ofiarę dla nich błagalną zatknęli głowę Sabura na palu, który ustawili przy drodze.

Tak ich zastał wierny sługa, który tymczasem daleko odpędził zbójów, i teraz znów wszyscy troje dziękowali bogom i duchom zmarłych za użyczoną łaskę, której też i w dalszym ciągu doznali. Hangwan pozostał przy zdrowiu i sile, które w tak cudowny sposób odzyskał; ożenił się uroczyście z Terutą i śmiało teraz stanął przed Jokojamo, którego zawiadomił o śmierci syna, dodając, że wraz z Terutą własnoręcznie dokonali aktu pomsty, a przez to zadośćuczynili obowiązkowi i muszą napowrót odzyskać cześć. Zażądał więc przywrócenia siebie i Teruty do poprzednich godności i stanowiska. Jokojama musiał zadość uczynić żądaniu; knował wprawdzie na nowo jakieś zamysły, ale książę Keszwomaru, którego przeciw wszelkim czarom osłaniał duch Oguriego, osiągnął rychło pełnoletniość, przez co złamaną została władza tego złego człowieka.

Niebawem nadarzyła się też Hangwanowi sposobność pomszczenia na Jokojamie śmierci swych rodziców. Ten nie mógł przeboleć utraty władzy dawniejszej i próbował spisek uknuć; ale takowy wykryto, Jokojama musiał uciekać i jawny podniósł bunt przeciw swemu panu, napadłszy na zamek Keszwomaru z oddziałem doświadczonych wojaków. Udało im się nawet wcisnąć się do wrót, ale żołnierze księcia, z Hangwanem na czele, odparli ich

zwycięsko. Wielu w tej walce padło trupem, a między nimi i Jokojama, którego zabił własnoręcznie Hangwan i w tryumfie głowę jego zatknął na wrotach zamku.

Teraz już do szczęścia jego i Teruty nic nie brakowało, żyli więc jeszcze długo i szczęśliwie, doszedłszy na dworze swego władcy do wysokich zaszczytów.

Trzysta lat młodości.

Pewni bogobojni małżonkowie, mieszkając nad brzegiem morza, żyli z ryb połowu, a jedyną uciechę i szczęście widzieli w jedynaku, który zwał się Uraszymataro, synem wyspiarskim. Chłopak wyrósł na dorodnego i lubego młodzieńca, a że pomagał ojcu w rybactwie, cały dzień spędzał na morzu czy to w czasie pogodnym czy burzliwym. Wkrótce stał się najsławniejszym w całej wsi rybakiem. Nikt tak daleko jak on w całej wsi nie śmiał żeglować po morzu, a wieś rozgłos miała między rybakami. Sąsiedzi nieraz rodziców jego ostrzegali:

— Uważajcie, starzy! Jeżeli syn wasz nie przestanie tak junaczyć, to zobaczycie, że go nieszczęście nie minie, fale go pochłoną i nie powróci do was.

Uraszymataro niewiele dbał o te wróżby, a i rodzice, wiedząc jak silnie, zręcznie i nieustraszenie kierował łodzią swoją, pozbyli się oń obawy, a coraz bardziej dumnymi z niego się czuli i szczęśliwymi.

Pewnego pięknego, pogodnego dnia, gdy Uraszymataro wyciągnął przeciążoną sieć z wody i wydobywał z niej ryby, ujrzał między niemi ładniutkiego żółwia, którego widok tak go ucieszył, że pogłaskawszy zwierzątko ręką, wrzucił je do kadzi. Naraz żółw odezwał się, przemówił i począł żałośliwie błagać o darowanie mu życia.

— Jestem jeszcze młody — mówił — i mały, chciałbym pożyć na świecie. Po co ja ci przydam się? Pożałuj mnie. Jeśli okażesz się litościwym i obdarujesz mię wolnością, przyrzekam ci wdzięczność.

Uraszymataro miał serce poczciwe, niezdolne do odmowy, zwłaszcza gdy błaganie tak go wzruszyło; wyjął więc żółwia z kadzi i wpuścił go napowrót do morza.

Rok za rokiem mijał, wiele wody z rzek upłynęło, a Uraszymataro wciąż po dawnemu wstawał o świcie i jak zwykle udawał się na pełne morze. Raz, gdy zwracał łodzią obok jednej skały, zakotłowało się morze, powstał wir gwałtowny, który łódź porwał i rzuciwszy o skałę, zdruzgotał. Rybak wleciał do wody, ale że wybornie pływać umiał, wynurzył się rychło na powierzchnię fal i usiłował dostać się do brzegu. Ale fale wciąż go pognębiały, ciskając nim to w górę, to na dół w głębię wód. Gdy tak walczył z niemi, ujrzał nagle płynącego ku sobie żółwia, który donośnym głosem zawołał do niego:

— Jestem tym samym żółwiem, któremuś ty życie darował niegdyś, teraz chcę ci spłacić dług mój i wywdzięczyć się. Brzeg, jak widzisz, jeszcze daleko i nie dobijesz nigdy doń bez mojej pomocy, boby ci sił zabrakło. Siadaj więc na mój grzbiet, a ja cię zawiodę gdzie zechcesz.

Rybak nie dał się długo prosić i przyjął ofiarowaną mu pomoc. Lecz zaledwo ocknął się na grzbiecie żółwia, tenże zaproponował mu, ażeby na dziś nie wracał na ląd, ale udał się w podróż podmorską.

— Obaczysz tam — mówił — cuda, o jakich nie śniłeś, a których żałować nie będziesz.

Zdziwił się tą propozycyą rybak niemało, ale przystał na nią i niebawem wraz z towarzyszem zanurzył się w głębiny morza, pod którego falami modremi płynęli wciąż coraz dalej i dalej. Podróż trwała całe trzy doby, aż nareszcie ocknęli się przed świetnym olbrzymim pałacem kryształowym o kolumnach złotych i srebrnych, a usianych koralami, perłami i wielu cennemi klejnotami. Łuna biła od niego i jasność taka, aż wzrok olśniewało. Żółw wprowadził towarzysza swego do wnętrza, którego wspaniałość i piękność coraz bardziej go wprawiały w zdumienie na widok przepychu i bogactwa owych złotych owoców na drzewach, których liście jaśniały perłami, szmaragdami, topazami a znów ściany komnat świeciły cennemi łuskami rybiemi z szafiru i dyamentu.

— Kędyżeś mię zaprowadził? Kto jest władcą tego pałacu zaczarowanego? — pytał Uraszymataro swego przewodnika.

— To pałac Riugu, boga morskiego, któregośmy wszyscy wierni poddani — odrzekł żółw. — Ja zaś jestem pierwszą pokojową córki jego, cudnej księżniczki Otahimy, którą wnet ujrzysz.

To rzekłszy, opuścił żółw na chwilę zdumionego rybaka, a sam udał się w głąb pałacu, aby zameldować przybycie pięknego młodzieńca, o którym wiele przedtem mówił księżniczce i którego właśnie na jej życzenie tu sprowadził. Niebawem też ona sama się zjawiła i gdy spojrzała na gościa, okazał się jej istotnie tak pięknym, jak go żółw opisywał. Wydała dlań ucztę, przyjęła wystawnie i prosiła go, aby na zawsze u niej pozostał.

— Nie zestarzejesz się tu nigdy, będziesz zawsze młodym i pięknym — mówiła doń, jakby w nagrodę za spełnienie jej prośby.

Otahima sama jaśniała taką pięknością jak królowa słońca, a prosiła tak czarująco, z takim wdziękiem! Jakże się było jej oprzeć? Toć zgodził się Uraszymataro i pozostał.

I rozpoczęły się lata szczęśliwego z księżniczką życia wśród zachwytu, czaru, upojenia i ciągłej młodości.

Jak długo to trwało? Uraszymataro nie wiedział i nie troszczył się wcale o to. Ale naraz wśród największego szczęścia uczuł niewymowną tęsknotę za swymi poczciwymi rodzicami.

Uczucia tego, wbrew usiłowaniom, stłumić nie mógł, i pewnego poranku siedział tak smutny, że go księżniczka w żaden sposób rozweselić nie mogła. Zapytała go wreszcie o przyczynę troski, tedy przyznał się jej szczerze, że nie może się oprzeć tęsknocie za nimi i że żyć nie może, jeśli ich nie ujrzy. Księżniczka wielce się tem zatrwożyła, usiłując napróżno przekładać mu niebezpieczeństwa, na jakie naraża go pragnienie jego.

— Stracę cię na zawsze i nie zobaczymy się nigdy — biadała ze łzami w oczach.

Ale Uraszymataro upierał się przy swojem stale i mówił przygnębiony smutkiem:

— Muszę kraj mój i rodziców zobaczyć, ale chętnie do ciebie powrócę, jeśli rozkażesz.

Księżniczka zadumała się, westchnęła ciężko i rzekła:

— Jest sposób powrotu dla ciebie, ale ja się obawiam, czy będziesz mógł spełnić konieczny przy tem warunek.

— Wszystko uczynię, byle powrócić ku tobie — zapewniał Uraszymataro, spoglądając na nią z przywiązaniem i wdzięcznością.

Księżniczka wszakże była smutną w przeczuciu, że go utraci. W końcu wszakże ruszyła z miejsca i rychło przyniosła puszeczkę złotą, którą wręczyła Uraszymataremu, prosząc go usilnie, aby przyjął ją i nigdy jej nie otwierał, a przy pożegnaniu dodała poważnie:

— Jeśli będziesz w stanie ten warunek spełnić, to dość ci będzie tylko przybyć nad brzeg morza i przywołać przyjaciółkę twoją — żółwia, a ona cię znaną drogą znów przywiedzie ku mnie z powrotem.

Uraszymataro, z rozrzewnieniem ją żegnając, dziękował i zapewniał, jako zleceń jej trzymać się będzie ściśle. Zaczem schował puszkę w zanadrze i siadłszy na grzbiet w gotowości już stojącego żółwia, puścił się w drogę. Księżniczka długo smutnym wzrokiem przeprowadzała go w dal.

I znów podróż morska trwała trzy doby, aż wylądowano szczęśliwie na wybrzeżu rodzinnem rybaka. Tu żółw pożegnał się z nim, zanurzył się w spienione fale morskie i zniknął rychło w ich odmęcie. Uraszymataro zaś ruszył krokiem przyspieszonym z bijącem od radości sercem ku ojczystej wiosce. Już widział zdala dym, wznoszący się od ognisk domowych, już oto bliżej z po za zarośli i drzew wychylały się stare omszone dachy słomiane chałup, już słychać było wesołe nawoływania dzieci i dźwięki strun k o t o, dochodzące doń wyraźnie z jednej z chałup. Serce mu mocniej uderzyło w piersi, a rozrzewnienie napełniło duszę.

Ale co za zdziwienie i ból jął nim władać stopniowo, gdy wszedłszy do wsi, posuwał się wzdłuż jej ulicy! Jakże tu wszystko uległo zmianie! Ani jednego domu, ani jednego człowieka tego samego nie ujrzał, co dawniej. Rzucił się nagle z miejsca i pomknął ku domowi rodziców. O tak, stoi tu dom, ale jakże odmiennie wy-

gląda od poprzedniego. W przygnębieniu i osłupieniu pyta mieszkańców o rodziców, ale wygłoszonego nazwiska nie znano, nie słyszano o niem nawet i nie umiano dać mu żadnego w tej mierze wyjaśnienia.

Pędzi opętany nieszczęściem swojem na cmentarz, jako do jedynego miejsca, gdzie mu trwożne przeczucie powiadało, że znajdzie radę i pomoc, a rozwiązanie smutnej zagadki. Tu wszak wszystkie bóstwa, wszystkie dobre duchy czuwały, nie odmówią mu z pewnością wyjaśnień tych dręczących duszę tajemnic. Jakoż nie omylił się: po niedługich poszukiwaniach znalazł groby rodziców, a kamień na nich wskazywał lata wyryte, które mało odbiegały od tych, jakie były w chwili wędrówki ku pałacowi morskiemu księżniczki. Ze skruchą i żalem odmówił modły swoje, zaczem obejrzał się i ujrzał grobowce z świeższą datą. Czyta, rachuje i przekonywa się nareszcie, że już trzysta lat upłynęło od czasu jak opuścił był kraj swój ojczysty.

W przerażeniu pędzi napowrót do wsi, i tam słyszy na własne uszy, że tak a nie inaczej było. Zrozpaczony wydobywa puszkę księżniczki Otahimy w tej myśli, że może go złe czary urzekły i ona go uratuje. Prawie bezwiednie pocisnął ją, pokręcił, aż się rozwarła, a stamtąd wzniósł się do góry purpurowy obłoczek oparu. Zdziwiony trzyma próżną puszeczkę w ręku, i widzi, jako ta ręka, która jeszcze przed chwilą była jędrną i silną lewicą młodzieńca, teraz pomarszczyła się, pofałdowała i skostniała jak u wiekowego dziada. Posunął się do potoku, płynącego z góry, i przejrzał się w jasnem zwierciedle wody: obraz upiora o żółtej woskowej twarzy odbił się stamtąd. Znużony śmiertelnie wlókł się powoli przez wieś, a nikt w zgnębionym, trzęsącym się dziadku nie poznał krzepkiego pięknego młodzieńca, który przed godziną szedł tamtędy. I dociągnął się zwolna nad brzeg morza, przywołując żółwia napróżno: nie pojawił się wcale. I tak go tam śmierć zaskoczyła po pewnym czasie, w ciągu którego przychodzili ludzie patrzyć nań, jak siedzi samotnie. Im to on opowiedział dzieje swoje, a oni mu w zamian ostatnich użyczali pociech, a później opowiedzieli o nim innym. I tak się to przenosiło z pokolenia w pokolenie w opowieści o tym dzielnym, zacnym synu, który

z miłości ku rodzicom i ziemi ojczystej porzucił przepychy i cuda pałacu pięknej księżniczki morskiej.

Cześć dlań przechowuje się do dnia dzisiejszego i gdy syn udaje się na wędrówkę w obczyznę, napominają go rodzice, aby szedł za przykładem Uraszymatara i w najwyższem szczęściu nie zapominał o rodzicach i kraju ojczystym.

Słońce czy szczur?

W pobliżu śpichrza chłopskiego, otoczonego ryżowiskiem, przebywała para szczurów, bardzo zamożna i w wielkiem poważaniu u sąsiadów i dalszych towarzystw szczurzych. Po licznem potomstwie urodziła się im wreszcie córka tak milutka, o tak połyskującej szarej sierści, o szerokich nastroszonych uszkach i tak świecących oczkach, że rodzice z dnia na dzień dumniejszymi się stawali z posiadania takiej córuchny i jeno nad tem przemyśliwali, jakąby jej świetną przyszłość zgotować. I gdy nareszcie szczurzątko wyrosło, przyszli do przekonania, że jeno najpotężniejszy w całym świecie twór godzien być jej mężem. A gdy tę sprawę omawiali z sąsiadem, ten nie wiele myśląc odezwał się:

— Jeśli nosicie się z zamiarem wydania córki waszej tylko za najwszechwładniejszego mocarza, to musicie sobie słońce wybrać za zięcia, gdyż bezwątpienia słońcu w potędze nikt nie dorówna.

To oczywiście wielce pochlebiło małżonkom, tedy bezzwłocznie wybrali się w drogę ku słońcu i wezwali je, aby poślubiło ich córkę. Ale słońce odrzekło:

— Wprawdziem wielce wam zobowiązane, żeście się tak daleko trudzili, oraz wdzięczne za zaszczyt oddania mi za małżonkę tak ulubionej córki waszej; ale, proszę, raczcie mi powiedzieć, co właściwie was skłoniło ku temu, że przedewszystkiem mnie a nie kogo innego upatrzyliście na zięcia?

Szczury przyznały się:

— Chcielibyśmy córce naszej dać najgodniejszego jej małżonka, a więc najpotężniejszego w świecie, a takim jesteś ty bezwątpienia. Oto dla czego postanowiliśmy wybrać cię na zięcia.

— To co powiadacie — odezwało się słońce — nie jest bez pewnej racyi, a raczej nie jest zbyt pozbawione sensu, ale jest coś mocarniejszego odemnie, to jemu oddajcie córkę waszą.

— A co, a co może być większej potęgi od ciebie? — podchwyciły szczury.

— Nieraz gdy pragnę świat oświetlić — mówiło słońce — nadejdą chmury, zakryją mnie, i wówczas promienie moje nie są w stanie ani ich wypłoszyć, ani przebić, ani rozprószyć, jestem bezsilny wobec chmur. Musicie więc do nich się udać i wybrać je na zięcia.

Dały się przekonać szczury, i poszły ku chmurom. Ale te, wysłuchawszy propozycyi, odezwały się:

— Mylicie się, mniemając, że jesteśmy tworem najpotężniejszym. Wprawdzie mamy moc zakrywania słońca, ale jesteśmy bezsilne wobec wiatru, który jak nadejdzie, rozrywa nas w kawałki i rozpędza tak, że nie zdołamy się mu oprzeć.

Poszły więc szczury do wiatru i uczyniły mu propozycyę zaślubienia ich córki, którą radziby oddać najpotężniejszemu tworowi. Wiatr wszakże rzekł:

— Mylicie się; wprawdzie posiadam siłę rozpędzania chmur ale niemocnym wobec muru, który wznoszą dla powstrzymania mnie; nie jestem w stanie go przeniknąć i przewionąć na wskróś. Mur więc jest mocniejszym odemnie.

Pociągnęły tedy szczury do muru, któremu w równej mierze przedłożyły swą prośbę:

— To prawda — odrzekł mur — że posiadam moc opierania się wiatrowi; ale podejdzie szczur, podkopie się podemnie i poprzewierca mi dziury, to ja temu przeszkodzić nie mogę: jestem bezsilny wobec szczurów. Najlepiej więc postąpicie, gdy szczura weźmiecie za zięcia.

Uradowały się szczury, przekonawszy się, że mur miał zupełną słuszność. Wróciły więc do domu i wydały ukochaną córuchnę za przyzwoitego młodziana szczurzego. I nie żałowały tego,

bo córuchna z mężem tegoż samego pochodzenia żyła szczęśliwie ku wielkiej radości rodziców.*)

---

*) Podobna ciągłość i zależność przyczyn a skutków przedstawiona też w fabule t. z. „przymówki“ pilchowskiej (p. pracę moją „Na Spiżu“ wysłaną do „Wisły“). Kureczka tam udławiła się bobem i kogutek dla ratowania jej poleciał po wodę do morza; ale morze posłało go po listek do lipy, lipa do wieprza po sadło, wieprz do młocków po zboże, młocki do kóz po mleko, kozy do góry po siano, siano do chmur po deszcz.

Dwie żaby.

W pobliżu nadmorskiego miasta Osaki przebywała w rowie jedna żaba, a pod piękną stolicą Kjoto w potoku — druga. Obu zachciało się jednocześnie odbyć podróż: ta, co w Kjoto mieszkała, pragnęła zobaczyć Osakę, a ta, co w Osace — odwiedzić cesarską rezydencyę Mikada. Nie znając się wcale i nawet nie słysząc o sobie, puściły się o jednej i tej samej godzinie w drogę i rozpoczęły podróż uciążliwą, która wszakże mogła się odbywać bardzo powoli, gdyż szczyt wysokiej góry stanowił właśnie połowę odległości, a wygramolić się na nią — był trud nielada. No, ale wreszcie pokonały go i ku niemałemu zdziwieniu wzajemnemu spotkały się na owym szczycie. Wytrzeszczyły w osłupieniu na siebie oczy, jęły się przypatrywać wzajem sobie i wreszcie zawiązały rozmowę, a dowiedziawszy się jedna od drugiej o celu podróży, wybuchnęły śmiechem, zaczem uradowane, usiadły w trawie, postanowiwszy nie wpierw się rozstać, aż odpoczną, pożywią się i nagadają do syta.

— Gdybyśmy były wyższego wzrostu, albo większemi istotami, — mówiła jedna — tobyśmy mogły stąd oba miasta naraz zobaczyć i zarazem osądzić, czy warte fatygi dalej podróżować.

— Och! na to jest rada — odparła druga — dość nam tylko wyleść jednej na drugą, albo jeszcze lepiej stanąć przy sobie sztorcem, a każda ujrzy miasto, którego jeszcze nie zna.

Projekt bardzo się tamtej podobał, i nie wiele myśląc, zerwały się z miejsca karliki, stanęły na tylnych łapkach i objęły się mocno, aby nie upaść. Żaba, która szła z Kjoto, skierowała nos swój ku Osace, a ta, co dążyła z Osaki, zwróciła się ku Kjoto.

I tak stały nieruchome, cicho, spokojnie, zapatrzone w dal. Ale głupie żaby wcale się nad tem nie zastanowiły, że gdy głowy swoje tak wysoko w górę podniosły, oczy ich były z tyłu na karku i że przeto każda patrzyła na własny kraj i na miasto, z którego wyszła.

— Ach! co ja widzę? — wołała żaba z Osaki. — Co ja widzę? Kjoto zupełnie tak samo wygląda jak Osaka: nie potrzebuję wcale iść dalej, oszczędzę sobie trudów podróży.

To samo powiedziała żaba z Kjoto. I gdy w ten sposób obie przyszły do jednego przekonania, wydobyły się sobie wzajem z uścisków i popadały w trawę. Zaczem oddawszy sobie ukłon, pożegnały się i każda puściła się z powrotem w swą drogę, pozostawszy do końca życia w tem przedświadczeniu, że miasto Kjoto i Osaka, które przecież tak się od siebie stanowczo różnią, są podobne. Z błędu, zrodzonego z głupoty, nigdy nie otrząsły się.

Tanuki*) mściwy.

Żył chłop stary z żoną niedaleko rzeki w górach wśród puszczy leśnej, która mu użyczała środków utrzymania. Chodził on też tam często i zbierał jej płody bądź dla własnej potrzeby, bądź na sprzedaż. Wśród tych wędrówek poznał się i zawarł przyjaźń z zającem, z którym toczył nieraz długie gawędy w czasie odpoczynku po trudach lub na popasach. Wypatrzył to zdala Taszuki, a że był stworzeniem złośliwem i nieprzyjaznem, spoglądał na ową przyjaźń z niechęcią i zawiścią, toć okradał chłopa przy każdej sposobności, pożerał lub psuł przygotowane przezeń dla zająca jadło i tyle psot wyrządzał obu przyjaciołom, że ci nareszcie stracili cierpliwość i poczęli czyhać na jego życie. Razu pewnego skrył się chłop w zasadzce i gdy Taszuki, nie przeczuwając onej, najspokojniej w świecie przesuwał się między drzewami, wypadł nań z gąszczów, pochwycił w ręce, związał powrozem wszystkie cztery nogi, że się nie mógł ruszyć i uradowany powodzeniem, wlókł go za sobą do chałupy. Pozbędzie się teraz wroga, co mu tyle zła wyrządził, raz na zawsze.

— Teraz trzeba się z nim rozprawić raz na zawsze — mówił do baby swojej. — Zabić go musimy, a tłuste wyborne mięso ugotować.

Zaczem zawiesił go u belki głową na dół i że na razie nie było w domu dość drzewa do rozpalenia, pomknął po takowe raz jeszcze do lasu.

---

*) Nyctarendus viverinus — wielce poszukiwany przez nemrodów japońskich — z rodzaju lisiego, nieco mniejszy od zwykłego lisa, siwoburej barwy, zręcznie wspina się i łazić po drzewach.

Starowina właśnie przez ten czas miała utłuc ryż w moździerzu na tydzień bieżący i gdy się zabrała raźnie do roboty, posłyszała naraz jęki i stękanie ciężkie powieszonego zwierzęcia. Wstrzymała się i spojrzała w górę. Na to właśnie czekał przebiegły filut, i począł tak łagodnie a żałośliwie błagać starej, aby mu nieco więzów popuściła, które mu wiele bólu sprawiały, że począł budzić w niej litość. Ale jeszcze nie ruszała się z miejsca, jeno trzymając tłuczek w ręku, rozmyśliwała nad tem, ażali mąż nie weźmie jej za złe, że pofolgowała wrogowi jego. Taszuki wszakże był za mądrym, aby się nie poznać na sercu ludzkiem, jął tedy jeszcze goręcej błagać ją o łaskę:

— Wy mnie jeno rozwiążcie — mówił — ja przecie z pewnością nie uciekuę, a natomiast pomogę wam ryż utłuc rychło. Wy zaś tymczasem odpoczniecie — dodał dobrotliwie, — boć to tłuczenie ryżu robota wcale ciężka i nie nadaje się dla tak słabej kobiety. — Takie spółczucie wielce zjednało starą, tedy w poczciwości i dobroci swojej rozwiązała go.

Srogo jednak odpokutować musiała za łatwowierność swoją. Wściekły Taszuki, zaledwo uczuł się wolnym, rzucił się na babę, zdarł z niej ubranie a samą nielitościwie rzucił do wnętrza olbrzymiej tłoczni moździerzowej na ryż. Niebawem utłukł ją tam po prostu na miazgę. A nie poprzestając na tem, przystawił garnek do ognia i staremu zgotował na obiad potrawkę z jego własnej żony. Załatwiwszy się z tem, wyjrzał przez drzwi: właśnie stary sunął zwolna, dźwigając ciężkie wiązki drzewa na plecach. Taszuki nie tylko wdział na siebie suknie zamordowanej baby, ale przez znane mu czary — przybrał także jej postać. Raźnie podał zgłodniałemu chłopu jadło, które temu wielce smakowało, że zjadł wszystko. Taszuki, gdy obaczył, że ani krzty nie zostało, wybuchnął śmiechem gromkim, dał opaść sukniom na podłogę i przybrał napowrót postać własną, a zwracając się do chłopa, zawołał:

— Parobku-ż ty, parobku nędzny, co łowy urządzasz na zwierzęta i chcesz je mordować! Hańba ci! Wpadłeś teraz we własną pułapkę. Wiedz że — jako zjadłeś potrawkę z mięsa własnej

żony, a jeśli chcesz mieć jej kości, to wyjdź na podwórze, tam za chałupą leżą one.

To rzekłszy, dał skok z izby i zniknął w lesie.

Chłop do tyla był zdjęty przerażeniem i bólem, że—jak skamieniały — długi czas ruszyć się z miejsca nie był w stanie. Zaczem pozbierał z pieczołowitością odnalezione istotnie kostki poczciwej swej starowiny, pogrzebał je i zaprzysiągł wieczną zemstę okrutnemu Taszukiemu. Dokończywszy dzieła, usiadł w samotnej izbie i gorzko jął płakać, czyniąc sobie gorzkie wyrzuty, że choć bezświadomie — zjadł własną żonę. Wśród tych biadań nadbiegł przyjaciel jego zając i zbliżył się ostrożnie ku izbie: nastawił uszu i przysłuchiwał się bacznie lamentom, a przekonawszy się, że nikt inny jeno właśnie stary jego biada, wsunął zdziwiony łeb we drzwi i zapytał chłopa o powód strapienia. Wśród westchnień i łez opowiedział ów całe to okropne zajście. Zając wzruszony spółczuciem pocieszał go jak mógł a wreszcie przyrzekł pomoc swą w zemście.

— Muszę zaraz zabrać się do rzeczy — mówił przyjaciel — a przewrotny zbrodniarz musi być jak najrychlej ukarany.

Zaczem obejrzał się po izbie, a znalazłszy to, czego szukał, przyrządził z gorącego pieprzu lemieszkę, którą starannie wymieszał i schował w zanadrze. Wziął też z sobą siekierę, pożegnał się ze starym i pomknął do lasu. Tu skierował się wprost do mieszkania Taszukiego i zapukał. Taszuki, nie podejrzywając żadnej zasadzki, wielce się uradował na widok siekiery u zająca, bo sam jej nie miał, a nieraz potrzebował. Wnet też pomyślał, że da się jakiś interes ubić, i od razu przystał na wycieczkę z zającem, który, rad tej skwapliwości, sadził się na uprzejmość i grzeczność. Gdy tak szli razem przez puszczę, zając ścinał siekierą gałęzie grube, z których mniejsze i lżejsze zabrał, a co do większych i grubszych skarżył się, że nie może sam udźwignąć. Pożądliwy Taszuki ucieszył się tą skargą i zagarnął dla siebie gałęzie, które też mu zając mocno uwiązał na plecach. Tak obładowany ciężko kroczył ku domowi; zając z cienkiemi gałęźmi truchta biegł za nim. Po niejakim czasie zbliżył się powoli i podpalił wiązkę Taszukiego, który nie spostrzegł tego, a jeno zapytał:

— Co to za trzeszczenie jakieś słychać?

— To żwir i kamienie osuwają się z góry i trą się o siebie i o ziemię — odrzekł zając.

Zadowolił się tem na razie Taszuki, ale gdy mu skórę na grzbiecie mocno przypiekło i wreszcie całkiem poparzyło, zrzucił wiązkę z siebie na ziemię, począł stękać i jęczeć. Pocieszał go wszelako zając, powiadając, że ma z sobą plaster, który mu wielką ulgę przyniesie, a który zawsze z sobą nosi na takie wypadki. Wydobył więc z zanadrza ową lemieszkę, nasmarował ją na duży liść bambusowy i przyłożył. Taszuki wył z bólu i jak wściekły rzucał się dokoła. Zając zaś śmiał się ukradkiem i uradowany poleciał do swego przyjaciela, chłopa, a opowiedział mu figiel, wyrządzony przezeń wrogowi jego. Stary wszakże potrząsnął w trosce głową, pełen obawy, że teraz jeszcze gorzej mścić się będzie ów utrapieniec; a jedynym sposobem zapewnienia sobie odeń spokoju — byłoby pozbycie się go raz na zawsze i w ten sposób uczynienie go nieszkodliwym. Po długich naradach postanowili nareszcie sporządzić dwie łódki, mniejszą z drzewa, a większą z gliny.

Wnet też zabrali się do roboty i gdy oba czółna były gotowe i jednaką farbą pomalowane, udał się zając do wciąż jeszcze leżącego chorym Taszukiego i zaprosił go na połów ryb. Aczkolwiek gniewny jeszcze na zająca za jego psotę Taszuki, ale osłabiony i zgłodniały — zgodził się na wezwanie i udał się z nim nad brzeg rzeki, gdzie obie łódki, kołysząc się na falach, uwiązane były do pala. Tu gdy zobaczył, że jedno z czółen było większe i pomyślał, o ile więcej nałowi ryb przy niem, bez namysłu wskoczył do owego większego i piękniejszego, gdy zając usadowił się w mniejszem, drewnianem. Zaczem wypłynęli obadwaj raźnie na pełną wodę, Lecz zaledwo oddalili się od brzegu na dobrą staję, zając tak gwałtownie uderzył wiosłem swem o tamtą łódź, że takowa pękła i przełamała się, a Taszuki wyleciał z niej do wody; gdy zaś usiłował ratować się pływaniem, zając dopóty go zanurzał pod fale, aż przestał dawać oznaki życia. Wziął wtedy trupa do swojej łodzi i pożeglował na ląd. Stary chłop

dowiedziawszy się o wszystkiem, odetchnął swobodnie pełną piersią, czując się szczęśliwym wraz z zającem, że śmierć niewinnej starowiny tak rychło została pomszczoną. Obadwaj jako przyjaciele długo jeszcze żyli razem, wspominając w częstych pogadankach o wypadkach życia.

Duch w studni.

Około połowy wieku dziewiętnastego nauczyciel szermierki Miura Takeszy przesiedlił się z prowincyi Oszju do stolicy Tokjo w nadziei, że udzielaniem lekcyi młodym wojskowym paniczom zdobędzie dostatnie utrzymanie. Że był ubogim, z trudnością mu przychodziło znaleść lokal odpowiedni na salę fechtunkową, a gdy takowy znalazł, obliczył, że nic mu nie zostanie na utrzymanie rodziny. W końcu poinformowano go, że w dzielnicy Hoszjo przy pewnej ulicy, nawiedzanej przez duchy, stoi dom pusty i z pewnością można by go nająć za bezcen, gdyż nikt tam mieszkać nie chce z powodu tego, że coś tam okropnie straszy.

Jako szermierz Takeszy był bardzo odważnym, toć bez zwłoki udał się do gospodarza i prosił go, aby mu dał mieszkanie tanie, bo nie jest zamożnym. Właściciel domu wielce się ucieszył propozycyą i ofiarował mu dom bezpłatnie.

— Okrzyczano ten dom — mówił — jako siedlisko strachów i duchów; spodziewam się, że pan, jako człowiek odważny, rzecz zbada dokładnie i ja raz będę wiedział, czego się trzymać.

Wprowadził się tu tedy Takeszy z całą rodziną i zamieszkał. Kilka dni minęło, a nic nadzwyczajnego nie pokazywało się. Pewnego wszakże wieczoru, gdy szermierz był nieobecny w domu, przeciągnąwszy lekcye fechtunku po nad zwykłą godzinę, żona jego posłyszała naraz straszny huk, a następnie szczękanie łańcuchów i dziwne łomotanie. Szermierz po powrocie zastawszy żonę przestraszoną i dowiedziawszy się od niej o tem, co zaszło, natychmiast przedsięwziął badanie. Ale nic nie odkrył, a żona tyle tylko umiała powiedzieć, że pierwszy huk rozległ się w pobliżu stu-

dni. Nazajutrz Takeszy wyszedł z sali fechtunkowej zawczasu, a uczniowie jego i znajomi, dowiedziawszy się o wypadku, przyłączyli się doń dobrowolnie i oświadczyli gotowość pomagania w wykryciu straszaka. Rozstawili się więc w różnych miejscach domostwa, sam zaś Takeszy stanął przy studni.

Niedługo czekano, aż rozległ się ten sam huk, co wczoraj. Szermierz przyskoczył pospiesznie ku samej studni i zajrzawszy do wnętrza, ujrzał tam wyraźnie łysą głowę, unoszącą się nad wodą. Jakiś jeszcze czas kołatało tam i łomotało, aż wreszcie ucichło, a tajemnicza głowa zniknęła.

O świcie pospieszył szermierz do gospodarza domu i prosił go o informacye co do przeszłości mieszkania. Ten przyrzekł zebrać szczegóły, a Takeszy tymczasem rozkopał studnię i znalazł tam czaszkę ludzką. Kazał ją należycie pogrzebać, i od tej pory ustało wszelkie kołatanie w domu. Właściciel zaś domu dowiedział się, że niegdyś tu zniknął był bez śladu człowiek ociemniały, który utrzymywał się z masażu chorych na reumatyzm. Ówczesnego mieszkańca domu podejrzywano, że coś musiał wiedzieć o zniknięciu ślepca, ale bliższych szczegółów nie podobna było zdobyć. Teraz było widocznem, że ów mieszkaniec przyprawił był ślepca o śmierć, bądź aby go obrabować, bądź że był jego dłużnikiem i w sposób zbrodniczy chciał się pozbyć długu. Szermierz zaś za odwagę swoją i uwolnienie domu od ducha biednego ślepca nabrał rozgłosu, który mu przysporzył sławy i funduszów.

Strachy lisie w oparzeliskach.

Wesołe towarzystwo młodych ludzi przy wieczerzy i puharach wina zabawiało się rozmową o różnych przedmiotach. Przyszła też kolej na opowieść o strachach. Ten i ów z biesiadników jął opowiadać, co słyszał o widmach lisów, które do tyla urzekały ludzi i zawładały ich zmysłami, że przybierając różne na się postacie, były w stanie zupełnie oczarować człowieka i wyrządzać mu najmilsze rozkosze lub najprzykrzejsze udręczenia. Jeden z biesiadników, zwany Tokutaro, trzymał się na uboczu, nie dawał wiary tym opowieściom, a nawet wyśmiewał i wyszydzał opowiadających.

— Że też was chęć zdejmuje wierzyć takim bredniom ludzi naiwnych albo głupich — mówił z uśmiechem. — Dla przekonania was gotów jestem udać się sam na najbliższy moczar czy oparzelisko, gdzie tłumnie gnieżdżą się lisy, a włos mi z głowy nie spadnie.

— Nie bądźże szaleńcem — powstrzymywali go inni — ani też tak bardzo zarozumiałym! Poważ się tylko, zwłaszcza o północy, zrobić tam sam wycieczkę, to obaczysz, że nie unikniesz przygód a może i niebezpieczeństw, a lisom może o coś więcej stać będzie niż o twój włos.

Te słowa jeszcze bardziej podnieciły zarozumiałość niedowiarka. Po wielu sporach stanął nareszcie zakład o beczułkę wina, którą Tokutaro miał zapłacić, jeśli mu lisy figla wyrządzą, albo reszta towarzystwa — jeśli wyjdzie on cało z opałów li ich

Gdy północ nadeszła, wyruszył odważny Tokutaro w drogę. Pełen otuchy w swe siły, wszedł na oparzelisko, otoczone krzakami, których gałęzie skrzypiały niesamowicie. Ale młody człowiek, zachowując przytomność umysłu, spokojnie kroczył naprzód, przekonywając siebie, że dzień jasny chyba tylko jasnością różni się od nocy, a zresztą niczem innem. Nagle niedaleko od niego przesunął się lis biały między gąszczami, z których też niebawem wychyliła się postać ślicznej dziewczyny i zbliżyła się ku niemu.

— O znam się na waszych sposobach — uśmiechnął się do siebie młodzieniec — nie tak łatwo dam się podejść!

Ale pokazało się, że dziewczyna była znajomą Tokutara, prosiła go uprzejmie, aby ją odprowadził do domu rodziców, a że tenże był niedaleko, młody człowiek chętnie podjął się jej usłużenia.

Idąc więc obok niej, bawił ją rozmową w przeróżny sposób, ale był przy tem święcie przekonany, że znajoma jego była tylko złudzeniem i że w istocie miał on do czynienia z przeobrażonym lisem. Gdy tedy doszli do mieszkania rodziców dziewczyny, wszedł on do domu, powitał ich, przyjąwszy natomiast od nich podziękowanie za ochronę i odprowadzenie córki do domu. Lecz zaledwo dziewczyna odwróciła się na chwilę, skinął Tokutaro tajemniczo na rodziców i gdy ci udali się z nim do drugiej izby, oznajmił im bez ogródek, że dziewczę przezeń przyprowadzone wcale nie jest ich córką, jeno zaczarowanym lisem, którego spotkał na tajemniczem oparzelisku.

Rodzice słuchali tego wyznania z ogromnem zdziwieniem, ale gdy on rzecz im wyłuszczył z wszelkiemi szczegółami i z zupełnem przeświadczeniem o prawdzie, dali się powoli przekonać, Wszakże ileż to sami oni słyszeli opowiadanych wypadków i figlów, które ludziom płatały straszące lisy, zaskoczywszy ich o północy! A ich córka, która była poszła w odwiedziny do przyjaciół, wszak miała dopiero nazajutrz powrócić! Nie, to na prawdę rzecz niemożliwa, aby to ona była we własnej osobie, choć postać i ruchy stracha zupełnie były te same co jej. Toż w końcu pozwolili Tokutarowi odżegnać zaczarowanego lisa i po-

zbawić go przybranej przezeń postaci, jeśli zdoła to uczynić. Tokutaro też zaraz zabrał się do roboty.

— Damże ja teraz temu hultajowi! — zawołał zadufany i począł dziewczynę, która już była udała się na spoczynek, dręczyć wszelkiemi sposobami. Przypiekał jej skórę żarzącemi węglami, bił ją i smagał niełitościwie, aż ciało okryło się ranami, ale lis nie pojawiał się. Nareszcie począł ją dusić. Biedne dziewczę krzyczało w niebogłosy, ale dręczyciel nie popuścił i tak ścisnął gwałtownie za gardło, że ofiara skonała ze słowy:

— Umieram bez ratunku!

Na łóżku pozostał zsiniały trup dziewczęcy.

Sprawa teraz przybrała poważne dla Tokutara znamiona, gdyż oto leżał przed nim trup istotnie córki państwa domu. Prawdziwy lis byłby dawno już umknął i wcale nie widzianoby tu żadnej dziewczyny. Gdyby zaś lis padł ofiarą, to czar zostałby przesilony, złamany i w miejsce stracha byłby trup lisi.

Gdy rodzice spostrzegli przerażającą śmierć córki, poczęli najpierw biadać, zawodzić w płacz, rozpaczać, a następnie uczynili Tokutara odpowiedzialnym za zbrodnię:

— Teraz ty musisz umrzeć — wołali gniewnie — gdyż ty jedynie jesteś sprawcą tej przedwczesnej śmierci!

Zaczem rzucili się na niego, związali mu ręce i nogi i zamierzali go zabić, gdy nagle posłyszeli pukanie we drzwi.

Starzy zaniechali egzekucyi i pośpieszyli dowiedzieć się o przyczynie pukania i po chwili wprowadzili kapłana, który właśnie domagał się wejścia. Ujrzał on stan nieszczęsny Tokutara i pytał o powód. Rodzice opowiedzieli okropne zajście od początku do końca, gdy Tokutaro leżał bezwładny i w osłupieniu. Kapłan, po wysłuchaniu całego przebiegu sprawy, ze stanowiska swego kapłańskiego nakłaniał do pokoju, przebaczenia i darowania życia Tokutarowi.

— Cóż wam — mówił — za pożytek będzie z jego śmierci? Co wam pomoże świadomość, że córka wasza pomszczona? Nie, ja wam inną propozycyę uczynię co do tego młodego, żądnego życia człowieka, który wprawdzie źle postąpił, ale w najlepszej wierze. Mnie go oddajcie! Będę się starał pokierować go

do stanu kapłańskiego, a wówczas będzie on miał czas i sposobność żałowania swego postępku i odpokutowania go.

Po krótkim namyśle zgodzili się starzy na propozycyę, by zaś widzieli, że takową wypełnia kapłan skwapliwie, przywołał on natychmiast golarza, który wnet Tokutarowi musiał głowę ogolić. Był to zapewne podręczny sługa kapłana, znający się na sporządzaniu tonsury, gdyż sprawnie wywiązał się z zadania: najpierw spadł piękny warkocz Tokutara, następnie zniknęła reszta zarostu z tyłu i z boków, a nareszcie cały łeb do gładka został zgolony, tak że młodzieniec wyglądał, jakby oddawna należał do stanu kapłańskiego. Podczas całego aktu tego kapłan nieustannie odmawiał modlitwy, które monotonnie dźwięczały w uszach obecnych, aż się odbyło ostatnie pociągnięcie brzytwy.

W tej chwili nagle wszystko zniknęło do koła: i dom, i rodzice, i kapłan, i jego sługa, a Tokutaro ujrzał się pośród tajemniczego oparzeliska i słyszał skrzekliwe poszczekiwanie lisów, które jak śmiech rozlegało się echem w tych pustaciach. Obejrzał się tedy na wsze strony zdziwiony, westchnął głęboko i już czuł się uradowanym i szczęśliwym, że wszystkie te czary skończyły się na prostem tylko przywidzeniu i przestrachu. Mimowolnie wszakże sięgnął ręką głowy i, o dziwo, zamiast pięknego zarostu, uczuł nagą jak na kolanie skórę. Zawstydzony i zakłopotany wraca do przyjaciół, którzy go witają z okrzykami i naigrawaniem. Pozwolił im naśmiać się i naszydzić do syta, opowiedział szczegółowo całą historyę i zapłacił zakład przegrany. Następnie wszelako, gdy wrócił do domu i poważnie zastanowił się nad całem zajściem, zgłosił się do przełożonych stanu kapłańskiego, pragnąc stać się istotnie tem, do czego był powołany w ciężkiem doświadczeniu, ogolił się na nowo i poddał wszystkim innym ceremoniom niezbędnym w tym stanie. Pozostał w końcu kapłanem wzorowym.

Czy obu kochała?

W Setcu ongi żyło śliczne dziewczę, o które się ubiegali naraz dwaj młodzieńcy. Obadwaj żywili dla niej jednako wielką miłość i każdy z nich niezliczonemi dowodami tego uczucia pragnął zaskarbić dla siebie jej względy. Jeden zwał się Mubura i również pochodził z Setcu, mieszkając w sąsiedztwie, drugi zaś— Czynu, był z prowincyi Idcumi, nieco na południe; wydawał się więc niejako obcym, ale nie mniej przeto mile był widzianym w domu rodziców dziewczyny, gdyż również poświęcał jej cały swój czas, wszystkie swe myśli i tchnienia, wcale nie myśląc o powrocie ku ojcowiźnie.

Obadwaj byli jednego wieku, jednako dzielnej budowy i wdzięcznej urody. Żadnej między nimi różnicy dostrzedz nie mogła dziewczyna; wobec jednakich właściwości serca i ducha ich, dziewczyna, nieraz z ukrycia ich śledząc i badając, który był lepszym, nie zdołała żadnej znaleść odmiany. Nareszcie nadeszła chwila stanowcza — komu rękę oddać, czyja miłość była większą i gorętszą. Ale i tu próba nie dopisała: zaledwo zmrok zapadł, obadwaj stawili się jednocześnie, każdy niosąc jednako cenne podarki i składając je a ofiarowując ukochanej w jednaki sposób.

Co począć? Dziewczyna nie widziała żadnej rady, żadnego wyjścia i smutnie opuściła głowę na piersi, gdy obadwaj wielbiciele miesiącami całemi cierpliwie i nieustannie podtrzymywali swe zabiegi.

Pewnego tedy dnia rzekli rodzice dziewczyny:

— Nie uchodzi takie z twej strony zachowanie się wobec tych młodych ludzi; smuci to nas wielce, i musisz nareszcie zde-

cydować się na wybór. Weź jednego lub drugiego, taka jest wola nasza; a gdy nareszcie wybierzesz jednego, miłość drugiego sama przez się rychło rozwieje się.

Dziewczyna wzdychała, zapewniając rodziców, jakby rada była uczynić zadość ich woli, ale obadwaj tak byli podobni do siebie, że wybór niemożliwy.

— To w takim razie my ci ułatwimy i pomożemy — odezwali się rodzice, i wzięli sprawę w swoje ręce.

Podówczas był w owych stronach zwyczaj, że domy budowano na palach w rzece; tak też i dom rodziców dziewczyny stał na potężnych palach drewnianych w rzece Ikucie. Gdy tedy pewnego dnia obadwaj młodzieńcy byli obecni, odezwali się rodzice:

— Córka nasza gryzie się, gaśnie i zanika w podzielnej obu was miłości i staraniach, dla tego postanowiliśmy dziś sprawę zakończyć. Jeden z was jest naszym sąsiadem, drugi przybywa zdala, to wszakże nie czyni żadnej między wami różnicy, bo jednako jesteście nam mili. Weźcie tedy wasze łuki; oto tam na rzece pływa mewa biała: mierzcie dobrze! Kto trafi ptaka, otrzyma córkę naszą za żonę.

— Bardzo dobrze! — zawołali obadwaj radośnie. Raźnie skoczyli po łuki, napięli je i jednocześnie wypuścili strzały, które świstem przeszyły powietrze.

Ale jakiż był wynik? Strzała jednego przeszyła ptakowi głowę a drugiego brzuch jego. Kto tedy rzec mógł, który z nich był lepszym strzelcem?

— Dość tej męki! — zawołała dziewczyna — niech fale uwolnią mą duszę od tego rozdwojenia! Ta, życiodawczą zwana, umiłowana rzeka nasza niech mi użyczy teraz śmierci i grobu!

I z temi słowy rzuciła się z ganku w nurty wody, zanim kto mógł spostrzedz i przeszkodzić temu.

Ojciec i matka odchodząc od zmysłów krzyczeli, załamywali ręce, rozdzierali w rozpaczy swe suknie z głośnem wołaniem ku dziecku ukochanemu. Obaj wszakże młodzieńcy bez namysłu rzucili się jednocześnie za dziewczyną w fale rzeki: jeden pochwycił ją za rękę, drugi za nogę, i wszyscy troje utonęli.

Nazajutrz, po wydobyciu trupów z wody, pogrzebali rodzice córkę, oblewając ją łzami. Przybyli też rodzice młodzieńców i każdemu wykopali grób z obu stron mogiły dziewczęcej. Tak bowiem być musiało, ale jak wolno było to uczynić dla obcego? Skoro nie był tutejszym, czy godziło się trupem jego zanieczyszczać ziemię miejscową? Trudność tę rychło usunęli rodzice młodzieńca obcego. Podążyli oni do Idcumi ku swej ojcowiźnie i stamtąd korabiem przywieźli ziemi, z której usypali grób nieboszczyka swego. I do dnia dzisiejszego między Kaubą a Ozaką pokazują ludzie grób dziewczyny pod wzgórzem, które jednocześnie osłania mogiły obu jej wiernych młodzieńców, a które lud zowie Otomodcuka (t. j. dziewiczym kopcem pośmiertnym).

Wymagał zwyczaj w Japonii, aby do grobu zmarłego wkładano ulubione sprzęty jego, np. dla mężczyzn szaty ich świąteczne, starannie w wydrążony bambus zwinięte, broń, łuk, strzały a przedewszystkiem miecz. Przepis ten dokładnie wykonano względem młodzieńca z Setcu, ale nie co do owego, który pochodził z Idcumi; biedny Czynu nie dostał do grobu ani łuku, ani strzał, ani miecza, ani kopii, toć niepodobieństwem było, aby duch jego mógł się był uspokoić, gdyż nie miał się czem bronić przeciw swemu współzawodnikowi, który teraz, po śmierci, ścigał go nieprzyjaźnią i nienawiścią.

Razu pewnego podróżny z orszakiem swoim przeciągał mimo mogiły: że mrok go właśnie zaskoczył, musiał tam na noc pozostać. Zanim wszakże potrzebne ku temu zarządzenia wydał, posłyszał gwałtowny szczęk oręża i odgłosy boju. Zdumiony i przestraszony, rozesłał swych ludzi do koła, aby się wywiedzieli o powodach; ale ci rychło powrócili, nic nie odkrywszy. Podróżny ułożył się do spoczynku i zasnął z myślą o tem szczególnem zajściu. Wśród nocy czuje, że go ktoś budzi i oto widzi przy łożu swojem klęczącego męża w szatach krwią zbroczonych:

— Srodze naciera na mnie nieprzyjaciel — odezwał się klęczący błagalnie i cicho. — O, użycz mi łaskawie miecza swego do obrony i spokoju.

Podróżny, mimo wielkiego zdumienia, wzruszony, spełniając prośbę męża, dał mu swój miecz, z którym ów natychmiast zniknął.

Podróżny zerwał się z posłania w mniemaniu, że go ciężki sen tak trapi; ale miecza nie było, a natomiast z pobliża dochodziły odgłosy wrzawy bojowej, które wszakże trwały niedługo; zaczem widziadło zjawiło się znów, wołając z radośnym tryumfem:

— Za twojem chwalebnem przyczynieniem się udało mi się pokonać uciskającego mię wroga. Przez wdzięczność będę nieustannie czuwał przez ciąg życia twojego nad tobą i powodzeniem twojem. — Zaczem znikł, a niebawem i świtać poczęło. Podróżny siedział na łożu w głębokiej zadumie, a gdy się rozwidniło zupełnie, zobaczył krew płynącą z mogiły i miecz swój również krwią zbryzgany; o czem wnet opowiedział orszakowi swemu, a ci innym roznieśli po świecie. I tak dotąd lud opowiada ów wypadek łącznie z opowieścią o owem dziewczęciu i jego dwóch kochankach.

Płacząca wierzba.

W owych czasach, gdy bandy zbójeckie bezkarnie grasowały w Japonii, jedna z nich w okolicy Kjoto porwała chłopczyka, imieniem Umewaka, wśliznąwszy się w nocy do domu i po cichu zabrawszy dziecinę od boku uśpionej matki. Gdy ta nazajutrz, obudziwszy się, spostrzegła brak Umewaki, wśród biadań, nawoływań i rozpaczy, szukała go dokoła napróżno: dziecina znikła bezpowrotnie.

Biedny chłopiec nie mniej od matki biadał i rozpaczał, to wszakże nie wzruszyło rabusia, który go zawlókł do swoich spólników, a ci tak surowo go strzegli, że o ucieczce mowy nie było; co gorsza musiał wśród głodu, trudów i wysiłku włóczyć się z nimi po całej Japonii aż daleko na północ, a stamtąd z powrotem. Gdy chłopczyna nareszcie, osłabiony i wyczerpany z sił a do tego targany nieutulonym żalem i tęsknotą, uległ pod tylu ciosami, rabusie, widząc, że zeń żadnej pociechy już mieć nie będą i nie przywrócą mu zdrowia, porzucili go bezlitośnie na drodze. Jakiś człowiek miłosierny znalazł umierającego przed drzwiami swemi, dokąd się był malec dowlókł jęcząc. Ale mimo wszelkich zabiegów, starań i opieki — było już zapóźno. Biedny Umewaka prosił go tylko przed zgonem, aby posadził wierzbę na grobie jego, zaczem wzdychając, że już nie ujrzy swej matki, zamknął znużone powieki na zawsze. Miłosierny opiekun, mieszkaniec Mukoszywy, przedmieścia Tokjo, nie tylko spełnił prośbę sierotki i zasadził piękną wierzbę na mogile jego, ale nadto urządził godną stypę a następnie w rocznicę i zaduszki.

Właśnie w owych chwilach przybyła matka Umewaki do Mukoszywy. Biedna kobieta, udręczona troską i tęsknotą za dzieckiem, nie znajdowała ukojenia i spokoju w domu i wyruszała w różne strony na wędrówki za nim. W ten sposób przewędrowała wiele okolic i przybywszy do Mukoszywy, dowiedziała się, że owe zaduszki były pamięci jej dzieciny poświęcone. Padła bez zmysłów na grób. A gdy po niejakim czasie przyszła do opamiętania, jęła zanosić błagalne do bogów modły, aby dozwolili synaczkowi zjawić się przed nią. I bogowie wysłuchali jej modłów: Umewaka pokazał się jej o północy.

O brzasku porannym zniknął; ale wówczas wzrok marzącej smutnie matki padł na wierzbę mogilną a gdy po gałązkach tejże przesunął się szmer powiewu, wsłuchała się weń i rzekła:

— To szept syna mojego, który mówi do mnie!

I postawiła obok kapliczkę, do której lud dotychczas pobożnie pielgrzymuje, zasłyszawszy o zajściu. Dzień tych pielgrzymek przypada na piętnasty dzień trzeciego miesiąca, gdy w Japonii obchodzą przebudzenie się wiosny. Gdy tedy w owym dniu deszcz pada, ludzie mówią:

— Umewaka płacze.

Wierzbę widocznie ochraniają bogowie, żadna burza nie zaszkodziła drzewu, nawet śnieg, układając się na jej konarach, nie poparzył go dotąd.

Ponowne wcielenie wierzyciela.

Pewien ubogi człowiek, nie z własnej winy ocknąwszy się w potrzebie, zapożyczył się u sąsiada; ale mimo wszystkich zabiegów i starań nie mógł przez czas dłuższy spłacić długu, a tymczasem wierzyciel umarł bez spadkobierców.

Po niejakim czasie stroskanemu niemożliwością wypłacenia się dłużnikowi urodził się syn. Wciąż dręczonemu sumieniem ojcu wydało się, że ten syn mógłby być za wolą bogów wcieleniem wierzyciela jego, by w ten sposób mógł uiścić się z długu i pozbyć się trapiących go myśli. W mniemaniu tem utwierdził się on jeszcze bardziej, gdy widział, że syn wciąż niedomaga i że wielkiej nadziei nie było wychowania go na człowieka dorosłego. Pod wpływem tej myśli zapisywał on wszelkie wydatki, łożone na dziecko, i takowe od czasu do czasu zrachowywał. Gdy wszakże w końcu spostrzegł, że suma osiągnęła kwotę dłużną, a w stanie zdrowia syna nie zachodziła żadna zmiana, pomyślał sobie, że się omylił, z nabranego wszakże raz nawyknienia prowadził dalej rachunki wydatków na syna. Tak przeszło lat parę, gdy naraz dziecię poważniej zachorowało i rychło umarło, mimo starannych zabiegów lekarskich. Jakież jednak było zdziwienie ojca, gdy zamknąwszy rachunki zmarłego, spostrzegł, że takowe co do grosza wynosiły tyle, co dług wraz z procentami. Pomylił się więc był przedtem tylko o tyle, że był zapomniał dorachować odsetki do kapitału, bo zresztą wszystko się zgadzało co do joty. Wierzyciel więc jego wcielił się był ponownie w jego syna po to, aby dać dłużnikowi sumiennemu możność wypłacenia się z długu i uspokojenia nadal sumienia swego.

Spis rzeczy.

OPOWIEŚCI JAPOŃSKIE

SERYA II.

Zakochani wężami.

Szeroko słynie po świecie park Ujeno w stolicy japońskiej, a to zarówno z ogromu swego, ze wspaniałego zadrzewienia, z jeziora, świątyń, kiosków i urządzeń spacerowych, co wszystko o każdej porze dnia ściąga tam tłumy przechodniów, pragnących zażyć miłego wczasu. Nie tylko ślicznym jest widok jeziora, ale i pełnym tajemniczości. Obok wynurzającej się z fal jego dużej świątyni bogini Benten widać też małą kapliczkę z drzwiczkami u samego dołu, na które często wzrok kapłanów pada, a przechodnie całemi nieraz godzinami spozierają. I szczęśliwym udaje się niekiedy dojrzeć dwa węże, wpełzające przez otwór do kaplicy, skąd po pewnym czasie wracają znów do jeziora, kryjąc się w cieniach liści lotosowych, gęsto tu i ówdzie ocieniających źwierciadło jeziora.

Przed wiekami, nim jeszcze powstało tu Tokio, mowy nie było o parku, ale jezioro, a raczej sadzawka i wpośród niej świątynia bogini Benten, dawno już istniały. A że bogini czczoną zawsze była jako patronka szczęścia, piękności i błogosławieństwa małżeńsko-macierzyńskiego, tedy wędrowały tam tysiące pobożnych pątników, zwłaszcza małżonków bezdzietnych, błagających o łaskę i błogosławieństwo niebios. W liczbie owych pielgrzymów przybyły tam razu pewnego dwie pary małżeńskie, bezdzietne, złożyły swe wota ofiarne i gorąco błagały boginię o dzieci, boć słusznie powiada przysłowie japońskie: „sen no kura jori ko ga takara“.*)

I litościwa bogini dała posłuch ich modłom, obdarzywszy jednę parę nad miarę urodziwym chłopcem, a drugą — przedzi-

*) Dzieci są skarbem większym od tysiąca (magazynów) handlów.

wnej piękności dziewczynką. Toć i wdzięczność uradowanych bez miary rodziców była ciągłą i ustawiczną; co roku wraz z dziećmi przybywali tu w pielgrzymce, składając ofiary i gorące dziękczynienia.

W ten sposób dzieci też przyzwyczajały się do trwałej czci i nabożeństwa w tej świątyni, ale zarazem i do wzajemnych uczuć i gdy podrosły, uczucia też się rozwinęły i wzmogły do tego stopnia, że jedno bez drugiego żyć nie mogło. Postanowiły tedy zawrzeć związek małżeński, czemu rodzice nie tylko nie sprzeciwiali się, ale owszem niezmiernie radzi i uszczęśliwieni byli. Mimo to wciąż się zjawiała jakaś przeszkoda niespodziewana, która nie pozwalała na śluby, i małżeństwo wciąż się odkładało, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok. Przeszkody te nie były przypadkowemi, lecz głębokie miały uzasadnienie w woli bogini, która, obdarzywszy światłem dziennem tę parę dzieci jednego dnia, uważała je za swoje, a więc zostające wzajem w stosunku rodzeństwa, jako brat i siostra, między któremi małżeństwo byłoby grzechem kazirodczym. Sprzeciwiała się więc związkowi małżeńskiemu bogini sama. A że rodzice i dzieci o tem nie wiedziały, pielgrzymowali więc po dawnemu do świątyni, zanosząc gorące modły o zadośćuczynienie ich pragnieniom. Bogini, łaskawie spozierając na ich nabożeństwo, a nie mogąc odstąpić od powziętych poglądów i postanowienia, położyła kres w inny sposób, a to: pewnego dnia narzeczeni zostali zamienieni w węże ogromne, które przepełzszy przez gęsty trawnik, zniknęły w falach sadzawki.

Rodzice, przerażeni nagłem zniknięciem dzieci i widokiem odpełzających wężów, wśród okrzyków przestrachu, niepewności, żalu, poczęli szukać swej zguby dokoła, błądząc dokoła sadzamki. Ale napróżno: zguba się nie odnalazła. Dopiero w nocy dziewczynka zjawiła się we śnie matce, oznajmując jej, że bogini wysłuchała ich próśb, bo teraz nieprzerwanie pozostają na wieki z ukochanym swoim, zamienieni oboje w węże. Gdy matka opowiedziała widzenie mężowi i drugiej parze, wszyscy musieli się poddać woli nieba, a że jako pod jego i bogini opieką zostające uznano owe węże, poczęto im cześć okazywać, i zbudowano dla nich ową małą kaplicę, na którą i dziś lud spogląda ze czcią.

Boski taniec za szatę.

Hakurioo, rybak w Miwo na wybrzeżu Surugi, po robocie wygrzewając się raz na piasku w blaskach słońca, spostrzegł nieopodal szatę na ziemi, całą przejrzystą, całą misternie z piór i puchu utkaną; z tej strony zaś, co na plecy przypadała, zwieszały się dwa skrzydła. Zdjęty ciekawością, podjął cudowną szatę rybak z ziemi i już chciał zabrać do domu dla przechowania starannego na pamiątkę, gdy w tej chwili stanęła przed nim dziwnie piękna dziewica i biadając żądała zwrotu swego odzienia. Hakurioo z początku ani chciał słyszeć o zwrocie tak cennego łupu, ale dziewica wśród narzekań i łez przyznała mu się, że jest niebianką i musiałaby opłakany wieźć żywot na ziemi bez tego ubrania pierzastego, które gdy przy kąpieli zdjęła była z siebie, dostało się bezprawnie w jego ręce. Rybak, wzruszony litością, rzekł:

— Niechże i tak będzie: oddam ci twoje szaty, ale musisz mi za to wykonać taniec, z którym wy boginki unosicie się w obłoki.

— Zgoda — odparło dziewczę — oddaj mi moją suknię, a obaczysz najpiękniejszy taniec, na jaki mię stać jeno.

Rybak na to po namyśle:

— Nie, wpierw zatańcz, a później oddam szaty.

Lecz zagniewana niebianka zawołała:

— Wstydź się nie ufać słowu bogini! Żwawo, dawaj mi suknię, bo bez niej nie mogłabym tańczyć, a żałować nie będziesz, to ci przyrzekam.

Rybak wreszcie oddał łup w jej ręce. Natychmiast pospiesznie wdziała szatę na siebie i uniosła się w powietrze, a wierna słowu

danemu, poczęła przed zdumionym wzrokiem rybaka wykonywać najcudowniejszy taniec, o jakim jeno zamarzyć można było, przy akompaniamencie tak boskiego, upajającego wszystkie zmysły śpiewu, że Hakurioo, zdjęty błogim zachwytem, stał w oniemieniu. A ona tymczasem, wśród coraz wdzięczniejszych zwrotów i poruszeń zataczając kręgi powiewne, unosiła się coraz wyżej i wyżej, aż nareszcie po długich chwilach, wśród promiennych obłoków, wieńczących szczyt Fudży, zniknęła z przed oczarowanych oczu rybaka, posyłając słuchowi jego ostatnie dzwięki pienia niebiańskiego.

(por. klechdę na Spiżu „Złota kaczka", tamże piosnkę pioluby pilchowską: „Poniżej Mihalan dziwki się kąpali, a na zielonej wierbinki fartuski wiesali" vid. „Gwary Spiskie" Jana Grzegorzewskiego·

Żmijowe widmo dziewczęcia.

Służąca w domu Sataro, farbiarza, miała narzeczonego, który ją wieczorami odwiedzał, bez pozwolenia jej państwa. Razu pewnego Sataro zastał go w izdebce dziewczęcej i poczytawszy go za złodzieja, pochwycił i oddał w ręce policyi. Tu wszakże mimo skrzętnych badań i dochodzeń nic podejrzanego w nim nie wykryto; zasięgano również wiadomości od mieszkańców dzielnicy, w której pojmany przebywał i zewsząd tylko pochlebne o nim złożono relacye. Że jednak farbiarz nie chciał odstąpić od pierwotnego podejrzenia, jakoby młodzieniec w złych zamiarach wcisnął się do domu jego, posądzono tedy dziewczynę o spólnictwo i o zadanie chłopcu napoju czarowniczego i ją teraz poczęto indagować. Ale i tu nic nie usprawiedliwiało podejrzeń, mimo iż przy indagacyi tak poturbowano dziewczynę, że aż zachorowała. Odesłano ją więc do domu Satarów. Tu wszakże farbiarzowa na żaden sposób nie chciała jej przyjąć i dziewczyna, pozostawiona na bruku bez opieki, rychło umarła. Przyniesiono tedy jej trupa do Satarów, aby go pogrzebali wedle przepisów, ale farbiarz odmówił i poczciwi ludzie z sąsiedztwa zajęli się pogrzebem.

Zaraz potem skarżyć się poczęła farbiarzowa, że co nocy przychodzi do niej żmija i dręczy ją a uciska na wszelkie możliwe sposoby, znikając nad ranem po to, aby w noc następną znów przybyć. Farbiarz długo czatował na płaza, aż nareszcie udało mu się go przychwycić i zabić. Mimo to w następną noc żmija znów się pojawiła, dręcząc farbiarkę jeszcze natarczywiej niż przedtem. Sataro znów ją pojmał i zabił. Nic to wszakże nie pomogło: żmija

wciąż przychodziła, aż Satarowa z udręczeń i mąk umarła. Gdy Sataro zbliżył się do trupa i ze smutkiem i żałością chciał spojrzeć po raz ostatni na długoletnią towarzyszkę życia, ujrzał przy jej szyi spokojnie leżącą żmiję, mimo iż przystąpił bardzo blizko. To go strasznie przeraziło, ale jednocześnie przypomniało mu jego własną winę i niesprawiedliwość, a nieludzkość wobec dziewczęcia. Począł więc żałować za grzech i resztę życia spędził na pokucie.

Psie wcielenie.

Pewien mieszczanin zadłużył się był u swego sąsiada na dość poważną kwotę gotówki, o zwrot której niejednokrotnie kołatał niezbyt zasobny wierzyciel, ale napróżno. Dłużnik mimo dobrej woli nie był w stanie uiścić się, odkładając spłaty z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, aż też i umarł. Że spadkobiercy jego wiedzieli o tym długu, bo zresztą nie brak było i świadków, wobec których napominał nieboszczyka wierzyciel o zwrot, mniemał tenże, że prędzej lub później otrzyma swoją należność. Ale się omylił i tamci ani chcieli słyszeć o tem i poczciwy mieszczuch zaczął się już godzić z myślą niepowetowania doznanej straty... W jakiś czas potem zabłąkał się ku niemu dość miły i ochędożny psinka, łasząc się mu, zaglądając mu w oczy i ogonem bezustannie wywijając, widocznie z prośbą o danie mu schronienia. Skrzętny gospodarz, aczkolwiek nie rozporządzał zbyt rozległym lokalem, wziął pieska do siebie, bo nie tylko mu się bardzo podobał, ale i litość poczuł dla opuszczonego i bezdomnego stworzenia.

Niebawem zakradł się w nocy złodziej do domu i zabrawszy gotówkę, już zabierał się do ucieczki, gdy pies z taką zapamiętałością rzucił się nań, że nie tylko szczekaniem rozbudził domowników i sąsiadów, ale uczepił się go i trzymał dopóty, aż ci nadbiegli, pochwycili rabusia i odebrali łup jego.

Zaraz potem znikł pies bez śladu i gospodarz, rozważając powtarzające się już nie raz tego rodzaju wypadki, przyszedł do przekonania, że psem tym nie mógł być nikt inny, jeno duch jego

dłużnika, który w ten sposób chciał wypłacić się z długu swego, zaciągniętego za życia. Jakoż kwota, którą odebrano od złodzieja a więc którą uratował pies, wynosiła akurat tyle, co zaciągnięty ów dług wraz z procentem.

(Te i analogiczne w tym zbiorze wcielenia ludzkich istot w postaci zwierzęce por. z klechdą spiską: Talent człowieka — Żona psem (w zbiorze Jana Grzegorzewskiego „Gwary spiskie“).

Małpia miłość dziecięca.

Ludzie niechętnie łowy urządzają na małpy, upatrując w nich podobieństwo do ludzi z ciała i umysłu. Często też opowiadają podróżni, jako małpa, nadejściem człowieka uratowana od takich drapieżników jak niedźwiedź, ryś, wilk, następnie przez wdzięczność rzucała mu na pamiątkę kłębek, w którym nieraz cenne znajdowano klejnoty i monety srebrne lub złote. Toż samo stwierdzają i łowcy, którym podobne kłębki rzucała małpa, aby pozyskać życzliwość ich i uchronić się od pościgu łowczego. Nie dziwno tedy, że i strzelec Irunoja z kraju Szynano, gdy się w dzień zimowy wybrał na łowy, a ujrzał siedzącą na drzewie małpę, nie od razu podniósł pożądliwość i flintę na nią, tembardziej gdy ujrzał, jak małpa z całem zaufaniem spoglądając na niego, spokojnie trzymała się na swojem miejscu. Ale strzelec chodził dzień cały za zwierzyną i nic mu się dotąd nie nadarzyło: ma-li ze wstydem wracać na wieś bez żadnego łupu łowieckiego? Zmierzył, wystrzelił i zabitą małpę zabrał z sobą. Ale że go tymczasem noc zaskoczyła, a do domu było jeszcze daleko, toć napotkawszy pustką stojącą chałupę na polu, poszedł tam na nocleg. Mróz schwycił nie na żarty i wypadało nazbierać nieco chrustu i utrzymać ogień w żarowniku, aby jako tako przespać się.

Zwierzyna okazała się dość sporą i mięsistą i chęć zdejmowała Irunoję zdjąć z niej skórę i wypatroszyć bezzwłocznie; ale że czuł się znużonym, a i późno już było, odłożył ten zamiar na nazajutrz i w tym celu zostawił ją na dworze. Ale niebawem jął zastanawiać się nad tem, że przy wzmagającym się mrozie małpa zanadto skrzepnie i trudno będzie ją oprawić. Wciągnął ją więc na-

powrót do chałupy, zawiesił na haku, niedaleko ogniska, dołożył drzewa do tego ostatniego, położył się na ziemi i zasnął.

Po niejakim czasie zbudził go jakiś szmer i szelest. Otwiera oczy i widzi ze ździwieniem, jak jakieś postacie ciemne snują się przed ogniskiem, którego płomień niewyraźnie migotał. Z niepokojem a ciekawością wytężywszy wzrok, dostrzega dwie małe małpki, które dotąd niedostrzeżone przezeń były uczepione ramion starej małpy, lub może w ślad za nią wcisnęły się do izby, rozgrzewały taraz swoje ręce przy ogniu, a rozgrzawszy je, szybko gramoliły się napowrót ku starej, tu przykładały swe ciepłe ręce do jej zimnej twarzy, piersi i rany od strzału, który jej śmierć sprowadził. Wielkiem na ten widok zdjęło się spółczuciem i żałością serce łowca. Teraz dopiero przekonał się, jak ciężką wyrządził krzywdę tym dzieciom, których przywiązanie do matki, było tak trwałe że nawet łudziły się nadzieją przywrócenia jej życia ciepłem swojem! A że żal, smutek i wyrzuty sumienia zanadto weszły w głąb duszy Irunoji, aby mógł mniemać, że o nich kiedykolwiekbądź zapomni, postanowił odtąd poświęcić swe życie pobożnej pokucie. Pożegnawszy żonę i dzieci, a ogoliwszy głowę i przywdziawszy szaty żebracze, poszedł w świat pielgrzymką, nawiedzając miejsca święte i błagając Buddę o przebaczenie i spokój duszy.

Czar siedmiu pokoleń.

W górzystych borach Chin dotychczas jeszcze czczoną jest pamięć pobożnego pustelnika Luwena, jako opiekuńczego ducha górskiego, choć to już bardzo dawno było, gdy postać jego ludzka przebywała w owych stronach. Luwen był z powołania drwalem i żył w owych dziewiczych borach ze swego rzemiosła zacnie a bogobojnie. Codziennie od rana zapuszczał się w głąb puszczy, cały dzień ścinał drzewa i nad wieczorem wracał do domu, obarczony resztkami odciętych gałęzi i chrustu. Gdy razu pewnego w głębi boru pracując, podniósł wzrok ku niebu, głęboki błękit jego, przesiany złotemi blaskami słońca, takim go zdjął czarem, powietrze zaś, przesycone wonnym balsamem ziół i trawy, tyle w pierś jego wlało błogości i spokoju, że przerwawszy pracę, głęboko westchnął, pojąc się ową błogością. Po chwili, gdy się wzrok jego zniżył ku ziemi, padł na liszkę, która z za krzaków ciekawie mu się przypatrywała i spotkawszy się z jego wzrokiem, szybko pomknęła w głąb zarośli. Ciekawość więc zdjęła drwala i mimowiednie sam pomknął w ślad za nią i rychło ocknął się w gąszczu wysmukłych bambusów, których konary w jednem miejscu pochyliwszy się ku sobie, tworzyły rodzaj altany. Tu drwal oniemiał z podziwu i zachwytu, a zaparłszy oddech w piersi, puścił wzrok przed siebie.

Na zielonej murawie, tworzącej miękki kobierzec, siedziały dwie postacie niewieście tak dziwnej piękności, jakiej jeszcze nigdy oczy drwala nie oglądały. Przez gęste zarośla altany promyki słońca zaledwie słabo przesiewały się, muskając ich lica i szaty, a one spokojnie grały z sobą w szachy, zdając się nie widzieć

świadka swej zabawy. Zapatrzony pobożnie, jakby w obrazek święty, nie spostrzegł drwal, jak chwile czasu jedna za drugą mijały bezpowrotnie, aż jeden z promieni słońca, ześlizgnąwszy się po konarze bambusu, padł i na niego; niebo wciąż się jarzyło tym samym błękitem i powietrze płynęło tym samym balsamem, jeno ów promyk padał jakoś ukośnie, snać słońce się zniżało ku zachodowi.

Drwal westchnął, czas było wracać ku domowi. Lecz cofnąwszy się o parę kroków od owej cudownej altany, uczuł sztywność w kolanach i niemoc w ciele, tak że musiał szukać podpory w toporzysku, gdy wszakże oparł je o ziemię, rozsypało się ono próchnem, całkiem stoczone robakami i zmurszałe do szczętu. Jednocześnie wzrok drwala padł na własne piersi, a na nich ujrzał długą własną brodę, całkiem zesiwiałą.

Ciężko oddychając i przystając co chwila dla odpoczynku, dowlókł się starzec do wioski rodzinnej. Ale tu nikogo nie mógł poznać, ani też jego nikt nie znał, a po długich wywiadach i rozpytywaniach wykombinował, że od czasu jego odejścia ze wsi upłynął przeciąg siedmiu pokoleń ludzkich, które mu się wydały siedmiu godzinami w borze zaczarowanym. Ze świata więc dlań obcego usunął się Luwen w puszczę, gdzie też dokonał żywota jako pustelnik pobożny, czczony przez spółczesnych i potomnych.

(Porównaj inną w tym zbiorze klechdę p. t. „Trzysta lat młodości“, tudzież spiską „Trzysta lat zaklęcia“ [Jana Grzegorzewskiego: „Gwary spiskie“]).

Macierz Aiszoów.

Potężnem państwem nadmorskiem władał pewien król, dumny z wielkości dzierżaw swoich i piękności trzech cór, z których najmłodsza była najurodziwszą i najcudniejszą. Przyjrzawszy się razu pewnego jej piękności, rozmiłował się w niej rodzic i postanowił ją poślubić. Księżniczka przestraszona zwróciła się ku bogom błagając ich dniem i nocą o pomoc i ratunek w tej ostatecznej przygodzie. I wysłuchali bogowie jej modłów i uczynili ją szkaradną, całe ciało jej okrywszy włosami. Król, ujrzawszy tak nagłą i wstrętną zmianę, wpadł w gniew niepohamowany, a posądziwszy ją o czarodziejstwo, rozkazał zgładzić ze świata; o czem dowiedziawszy się, księżniczka zebrała pospiesznie trochę ruchomości swoich tudzież nieco żywności i w nocy umknęła ku wybrzeżu morskiemu w nadziei napotkania tam miłościwych żeglarzy, którzy by ją z sobą zabrali w podróż morską.

Ale gdy przybyła nad wybrzeże, jak daleko sięgnął jej wzrok, nigdzie ani rybaków, ani żeglarzy, ani żywej duszy nie było, wszędzie pusto i bezludnie, jeno łodzie kołysały się u brzegu mocno uwiązane do palów. Ze smutkiem i lękiem biegając nad wodą, dostrzegła wreszcie jednę łódź słabo uwiązaną i niemal luźnie. Drżąca wskoczyła tam, a złożywszy obok ruchomości swoje, gdy już miała odbić od brzegu, ujrzała ze zdziwieniem w łodzi psa białego, którego przedtem w pośpiechu i trwodze nie widziała. Myślała z początku, że pies wyskoczy, ale ten przeciwnie jął się jej przyjaźnie łasić usiadł przy jej kolanach i wzrokiem powiódł ku żaglowi, leżącemu na dnie łodzi. Gdy takowy podjęła i podnosiła sztorcem, pies począł jej pomagać w rozpięciu. Rychło też i wiatr przyjazny

wionął i łódź szybko mknąc po zwierciedle morskiem, coraz bardziej oddalała się od brzegów, tak że nad rankiem już lądu widać nie było.

Podróż wszakże trwała dni kilka, zanim ukazał się nowy ląd, Przystęp tam był skalisty, ale niedaleko odsłoniła się wyspa, okryta bujną a nęcącą zielenią. Tam też księżniczka postanowiła jak najrychlej wylądować. Była to właśnie wyspa, nazwana później Jesso.

Odnalazłszy po wylądowaniu pieczarę, mogącą dać schronisko od deszczu, tam przeniosła swoje rzeczy i zapasy i wraz z wiernym psem zamieszkała w podziemiu, opłakując swe smutne losy. Wprawdzie życzliwi bogowie przywrócili jej podczas podróży morskiej dawniejszą urodę, ale cóż po niej na takiem strasznem bezludziu gdzie dreszcz przejmował na myśl o śmierci głodowej! Wierny przyjaciel pies, czując jej troskę, usiłował ją przymilaniem się i pieszczotami pocieszyć, a po kilku dniach, kiedy głód jął doskwierać gwałtownie i gdy przed oczyma stanęło widmo śmierci, przyniósł jej sporą, okazałą rybę. Był to początek i zapowiedź lepszej przyszłości. Od tej pory codziennie poczciwe psisko dostarczało jej zapasów to w postaci ryb, to raków, to muszli, to znów owoców i jarzyn dzikich, ba nawet młodziutkich jeleni i sarn. Ogień zwykłym na pustkowiach sposobem dał się wydobyć przez pocieranie suchych kawałków drzewa jeden o drugi, a przy niem upieczone jadło stanowiło wyborną ucztę dla dwojga przyjaciół.

Ale ta przyjaźń i przywiązanie tembardziej dawały uczuwać księżniczce jej los gorzki i wyrywały z jej piersi skargę na niesprawiedliwość ludzką. Pies, siedząc cicho przy niej, zdawał się każde jej westchnienie podzielać i coraz lepiej rozumieć a odpowiadać jej gorętszem spółczuciem. W końcu dnia pewnego, gdy skargi się wzmogły do najwyższego stopnia, nie mógł dłużej ścierpieć i odsłonił jej swą istotną naturę, w jednej chwili przeobrażając swą postać: w oczach olśnionej księżniczki opadła powłoka psia i przedstawił się w całej wspaniałości piękny młody bóg. oświadczając jej, że sławiąc jej cnotę i wytrwałość, zszedł z nieba ku jej ratunkowi i pomocy.

Po wynurzeniu wdzięczności niebu nastąpiły zaślubiny. Szczęście, oparte na miłości, sprzyjało stale małżeństwu na tej wyspie

gościnnej, obfitującej w wszelkie dary przyrody. Niebawem zaczęło na świat przychodzić potomstwo tej pary; wszystko dzieci zdrowe, piękne i nad miarę zręczne i pojętne, dorósłszy, jedne pomagały w gospodarstwie, drugie wychodziły na łowy z ojcem, lub sporządzały mocne łodzie i łuki ze strzałami, zdobne w piękne rzeźby, to znów wspaniałe szuby i okrycia ze skór zwierzęcych, a wreszcie z włókien drzew przędziwo i coraz to trwalsze a piękniejsze tkaniny.

Na pamiątkę tego stanu owłosienia, w jakim rodzice przebywali czas jakiś, całe potomstwo ich męzkie otrzymało bujny zarost twarzy, a niewieście rozkoszne warkocze.

W ten sposób powstał piękny, odważny, cnotliwy i pracowity lud Aiszoów, który się rychło rozszerzył nie tylko po całej wyspie Jesso, ale i po sąsiednich ustroniach, biorąc nawet w posiadanie część Sachalinu. Wypadło im nieraz przytem walczyć z niedźwiedziami, obficie rozmnożonemi w owych stronach. Bogowie niedźwiedzi sprzyjali Aiszoom i wchodzili nieraz z nimi w związki małżeńskie, a z tych związków pochodzący synowie osiadali w puszczach, borach i wśród czeluści górskich jako bóstwa opiekuńcze tych krain, kierując losami mieszkańców i opiekując się ich uzdolnieniem w rybołowstwie i łowiectwie w czem prześcignęli Aiszowie inne ludy sąsiednie.

Pierwszy łucznik japoński.

Oddawna już oba przesławne i potężne rody Tairów i Minamotów stały wobec siebie groźnie, aż oto nareszcie około połowy wieku jedenastego przyszło między niemi do krwawych walk o władzę w Japonii, które cały wiek trwały, pochłaniając tysiące ofiar ludzkich. Jakkolwiek wszakże potężnymi były oba te rody, marzyć nie mogły o zawładnięciu tronem, gdyż lud po wsze czasy był z czcią religijną przywiązany do dynastyi panującej, wierząc święcie, iż nikt inny, jeno potomkowie i następcy bogini słońca Amaterazu mają prawo dzierżyć władzę najwyższą, mimo iż cesarze tego pochodzenia, łagodni z usposobienia swego i niebardzo władzy żądni, słabo ją dzierżyli i pozostawiali wykonywanie jej innym, najczęściej w ten sposób, że się usuwali w zacisze domowe lub klasztorne i tam wiedli żywot kontemplacyjny. Tak się też stało i teraz. Na dworze w Kioto doszedł do wielkich wpływów i nieograniczonej władzy jeden z rodziny Tairów, słynny wódz i regent Kiamori, któremu cesarz zostawił zupełną swobodę rządzenia krajem. Kiamori też żelazną pięść swoją rozciągnął nad całem państwem, a ktokolwiekbądź z wielmożów zamarzył o stawianiu mu oporu, ścigał go niemiłosiernie.

Nienawiść dla regenta wytwarzała coraz większą liczbę malkontentów, a gdy w końcu i sam cesarz Szotoku, choć dobrowolnie zrzekł się był tronu, począł niedwuznacznie okazywać niezadowolenie swoje, jęły się dokoła niego gromadzić zastępy niechętnych samowoli rycerzy i wielmożów, zwłaszcza z rodu Minamotów, którzy nareszcie na czele licznych zastępów wyruszyli w pole.

Owóż wodzem tych zastępów był najwaleczniejszy z przeci-

wników Kiamoriego — Tametomo, z rodu Minamotów, potomek Joszyjego,*) najpierwszy łucznik Japonii, który sławą swego łucznictwa prześcignął nawet Jorymazę.**) Posiadał on siłę pięćdziesięciu mężów, a lewe ramię przez szczególną łaskę bogów miał dłuższe od prawego, co mu dawało możność naciągać tak potężny łuk, że go czterech mężów napiąćby nie zdołało, i wypuszczać pięciostopowej długości strzałę z takim impetem, że się jej nic oprzeć nie było w stanie.

Cała ta wszakże moc i bohaterstwo nie na wiele mu się przydały wobec szczęścia. Toć gdy towarzysze walk jego Jorymaza, Raiko i Jorynaga, również z rodu Minamotów, na polu chwały padli od wrogiego miecza, lub sami się przebili, nie chcąc przeżyć hańby poddania, on — Tametomo, doznał losu okrutniejszego, bo się żywcem dostał w ręce przeciwników. Ci też, znając wartość tak zaciekłego i niebezpiecznego wroga, woleli go trzymać jako żywego świadka swej chwały, niż go zabijać; poprzecinali mu wszakże

*) Ten Jorymaza pochodził także z rodu Minamotów i pozyskał był niedługo przedtem sławę wielkiego łucznika w walce z potworem nuje, który z układu ciała podobny do tygrysa, miał nadto głowę małpią i potężny ogon. Według legendy wyłazil on pod wieczór na dach pałacu cesarskiego w Kioto i wyjąc przeraźliwie, do rozpaczy przywodził chorobliwego cesarza Konoje, który wskutek tego i od zaraźliwego oddechu potwora upadając coraz bardziej na siłach, wzywał rycerzy o uwolnienie go od tych męczarni. Na odwagę do walki zdobył się właśnie Jorymaza. Gdy przy blasku pochodni wiernego sługi Inohajaby — odsłoniła się straszna postać potwora, groźne ciskającego z oczu błyskawice, Jorymaza naciągnął łuk swój i wypuścił strzałę potężną tak celnie, że ugodził potwora, który z okropnem wyciem spadł na ziemię, zaczem sługa Inohajaba odrąbał mu głowę mieczem.

**) Podwalinę dla sławy rodu tego Minamotów położył Joryjoszy, ale do szczytu chwały podniósł familię syn jego, ów właśnie Joszyje w osobie którego powtarza się historya mojżeszowa. Jako wódz zastępów cesarskich uśmierzając rokosz na północy kraju, gdy z całem wojskiem zapuścił się w niedostępne skaliste góry Nambu, zabrakło tak dalece wody, że żołnierze umierali z pragnienia. Wówczas Joszyje po gorącej modlitwie do Haczymana, boga wojowników, uderzył ostrzem kopii swojej o skałę i wytrysło źródło ożywcze, które dało początek potokowi Kitakami. Przezwany uczniem Haczymana (Haczymantaro) doznaje równej z nim czci u Japończyków.

ścięgna ramion, aby już nigdy nie mógł walczyć jako łucznik, i wsadzili go do klatki żelaznej. W takim stanie rozpaczliwym przebywał on czas długi, na urągowisko wożony po kraju, aż razu pewnego, gdy właśnie był w prowincyi Idcu na południowym wschodzie Japonii i uczuł, że mu się rany na ramionach zupełnie zabliźniły, zdołał wyłamać klatkę i umknąć. Przestrach ogarnął nieprzyjaciół, rozesłano za nim w pogoń; nie zdołano pochwycić go, ale dowiedziano się, że przebywa na wyspie Oszyma (blizko brzegów japońskich), gdzie siarczane wyziewy wulkanu daleko dokoła się szerzą.

Tu rychło mieszkańcy ocenili moc jego i obwołali go swym władcą, zaniechawszy za jego przewodem płacenia daniny Kiamoriemu. Do wściekłości doprowadzony Kiamori wysłał przeciw nim flotę. Tametomo, odzyskawszy dawniejszą siłę w ramionach, ostrzeliwał statki z potężnego swego łuku dopóty, aż te, do szczętu po rozbijane, potonęły w falach morskich wraz z całą osadą. Zaczem wszakże przekonawszy się, że długo nie będzie mógł stawiać oporu Kiamoriemu, cisnął łuk i strzały w morze, wszedł do domu, zamknął się i podpalił go. Bogowie jednak, gotując mu inne losy, nie dali mu spłonąć. Po dłuższym czasie ujrzano go jako władcę wysp Luczu gdzie poślubiwszy córę jednego z wielmożów i zrodziwszy z niej syna i następcę swego — Zuntena, stał się założycielem dynastyi tamtejszego domu królewskiego.

Dżengischan czy bóg Kurumi?

Kiedy Juszydomo po przegranej bitwie został zamordowany pozostało po nim krom Jorytomo jeszcze dwoje młodszych dzieci, których matką była poboczna żona nieboszczyka — Toki: starszy synek Norijori i młodszy, podówczas jeszcze niemowlę — Joszycune, ten sam, który później dostąpił tak wysokiej chwały i czci u Japończyków.

Owóż gdy matka jego z dwojgiem dziatwy uciekała wśród zawiei śnieżnej, napotkał ją żołnierz z obozu nieprzyjacielskiego. Na widok nieszczęśliwej niewiasty zabiło serce wojaka współczuciem i zamiast pochwycić ją w niewolę i oddać w ręce strasznego władcy swego Kiamoriego, jął ją pocieszać, ale jako prostak wcale, niezręcznie, gdyż z rozmowy z nim dowiedziała się biedaczka ze strachem, że Kiamori, powiadomiony o jej ucieczce, kazał natomiast rodziców jej uwięzić, grożąc im śmiercią. Co począć? Opuścić rodziców — sprzeciwiało się świętym względem nich obowiązkom; poświęcić własne dzieci — było po nad jej siły. Powzięła więc śmiałe postanowienie. Dufając swej niepospolitej piękności, powróciła do stolicy i bez namysłu udała się wprost do Kiamoriego, błagając go o życie dla dzieci. Kiamori, uderzony jej wdziękami, jął tuż z miejsca zabiegać o jej miłość; ta z początku wzdragała się oddać zabójcy męża swego, ale w końcu skłoniła ucho ku natarczywości jego pod warunkiem, że dzieciom życie daruje, co też ów uroczyście przyrzekł i słowa dotrzymał, mimo rad zwolenników swoich, usunął jeno obu chłopców od matki.

Młody Joszycune oddany został do klasztoru kuramskiego, wśród głębokich borów położonego, gdzie spędzał czas, krom nauki,

na wycieczkach w puszczę i na obcowaniu z jej dzikimi mieszkańcami, przyczem tak się zahartował i urósł w siły, że go towarzysze klasztorni przezwali Uszywaką: młodym bykiem. Wśród owych to wycieczek w pustaciach spotkał raz przy starym rozłeżystym cedrze dużego gospodarczyka Tengu, jednego z tych skrzydlatych skrzatów, które się włóczą po świecie, strasząc ludzi. Joszycune wszakże dalekim był od wszelkiej trwogi, owszem zaprzyjaźnił się z nim nawet, i tak potrafił ująć sobie Tengu siłą swoją i urodą, że ten go wtajemniczył i wdrożył w różne swoje figle i kunszty. Nauczył więc Joszycuna skakać tak, jak żaden z ludzi nie potrafił, a w szermierce takiej rączości nabył, że wobec młynkowatych jego ciosów nikt się ostać nie zdołał. Japończycy do dziś jeszcze zachowują w wielkiej czci to drzewo olbrzymie, przy którem miało miejsce owo spotkanie.

Gdy do Kiamoriego doszła wieść o nadzwyczajnej sile i biegłości w szermierce Joszycunego, żałował ów swej ongi wspaniałomyślności; ale żal przyszedł za późno, gdyż skoro tylko Joszycune dowiedział się o owych uczuciach tyrana, wnet bezzwłocznie wyleciał w świat daleki. Pomógł mu umknąć pewien handlarz żelaziwem, często odwiedzający klasztor, i wziął go z sobą przebranego; razem powędrowali na północ, i już w podróży mógł wybawca doznać wdzięczności, gdyż Joszycune sam jeden, bezbronny rozpędzał całe bandy zbójów, napadające na nich. Aż gdy nareszci w Kadzuzie, pokonawszy jednę taką bandę, pięciu z niej zabił, daleko i szeroko rozniosła wieść sławę jego, i zachodziła obawa, że dobiegłszy uszu Kiamoriego, gniew tegoż z sobą przyniesie. Uciekał więc coraz dalej i przybył nareszcie na najbardziej północną okrainę Japonii do dzielnego i potężnego naczelnika szczepu — Hidehiry, który zatrzymał go przy sobie i użyczył mu opieki.

Tu wyczekiwał pory swojej młodzieńczy bohater i gdy nareszcie nadszedł czas odpowiedni, wystąpił w szeregu czynów bohaterskich do walki z nieprzyjaciółmi domu i rodu swego.

W pierwszych zaraz chwilach tych wypraw spotkał się on z owym głośnym nieposkromionej dotąd siły olbrzymem — Benkei Był to właściwie mnich z zawodu — ten Benkei. W owych czasach wszakże mnogie zakony były wojowniczego nastroju i niejeden

klasztor wyglądał raczej jak groźna twierdza, niż jak spokojny dom boży. Nieraz zbrojni bracia zakonni stawiali w górach opór cesarzowi i wodzom jego i dopiero po ciężkich porażkach bywali pokonani. Zwłaszcza wojowniczą sławą cieszył się Benkejowy klasztor w Hizanie, więc i nie dziw, że olbrzymi mnich nie tylko produkował się dowodami swej siły, ale też głośnym był swego czasu szermierzem i wojakiem. Jako dowód jego siły niezwykłej opowiadano, że raz porwał z sąsiedniego klasztoru wielki dzwon i sam na głowie przyniósł go do swego klasztoru, co wszakże nie na wiele się przydało, bo okradzeni mnichowie zapomocą czarów pozbawili dzwon dźwięku, który przywrócony mu został dopiero, gdy wrócił do prawych właścicieli. Odpowiednio do siły nie zbywało też olbrzymowi i na apetycie, skoro głoszono, że Benkei, aby się najeść, potrzebował zjeść jadła cały olbrzymi kocioł żelazny pięciu stóp średnicy.

W owym to czasie, kiedy Joszycune wracał do Kioto, Benkei zwykle zatrzymywał się wieczorem na tamtejszym dużym moście i ściągał daninę od przechodniów. Natomiast odpędzał innych włóczęgów i zbójów, i w tym celu nosił halabardę z klingą długą i ciężką.

Gdy tedy Joszycune dowiedział się o tym strasznym siłaczu, postanowił z nim się spróbować i dał mu znać, że pewien zbój przechodzić będzie przez most, aby z nim walczyć. Gdy nadszedł wieczór, Joszycune, przebrany za zbója, udał się na most, gdzie już Benkei czekał. Od słów przyszło do sprzeczki i w końcu do walki, która wszakże wypadła nieco inaczej, niż mniemał znacznie większy i wyższy wzrostem Benkei; niespodziane skoki i zwroty zręcznego szermierza i ucznia czarodziejskiego Tengu wprawiły mnicha rychło w zamęt, a ciosy jeden po drugim spadały nań tymczasem tak nagle i potężnie, że rychło halabarda olbrzyma padła na ziemię, a on sam, pokonany, uznał lekceważonego z początku przeciwnika za mistrza i prosząc o darowanie mu życia, przyrzekał natomiast wiernie służyć zwycięzcy. Tego właśnie pragnął Joszycune; darowawszy więc mnichowi życie i dawszy mu się poznać, kim jest, zabrał go z sobą w drogę.

Toż odwdzięczał mu się ten olbrzym niezmienną wiernością

i poddaniem się we wszelkich dalszych wyprawach i niebezpieczeństwach na najmniejsze onego skinienie, bez względu na własne i cudze ofiary. Tak n. p. razu pewnego Joszycune wielce był zakłopotany, ażali na dzień następny zamierzona wyprawa okaże się skuteczną; szło o to, aby nazajutrz w naznaczonej porze wojsko jego, które poszło inną drogą, stawiło się przed twierdzą nieprzyjacielską Iszytani, a tu noc i ciemno, choć oko wykól. Benkei zaledwie o tem dowiedział się, gdy pochodni dla rozświetlenia drogi nigdzie zdobyć niepodobna było, bez namysłu zapalił wszystkie dokoła chaty i budowle; okrutnym tym środkiem dopięto celu i wojsko, nie zbłądziwszy, dotarło na czas pod twierdzę wskazaną.

Niebawem po całym kraju sławą rozbrzmiało imię Joszycuna, gdy zwycięstwo niezmiennie towarzyszyło sztandarom jego. On to w jednej bitwie wytępił potężne zastępy Joszynaga, on to wreszcie szybkim pogromem przełamał stanowczo ostateczny i rozpaczliwy opór stronnictwa Tairy. Utorował w ten sposób bratu swemu Jorytomu drogę do najwyższej władzy i niewiadomo, czy większą była odwaga i waleczność jego, czy też miłość braterska.

A jednak Jorytomo odpłacił mu się najobrzydliwszą niewdzięcznością. Czy to w zawiści dla sławy jego, czy z bojaźni lub z obawy, dość że postanowił pozbyć się podstępem i Juszycuna i tegoż wiernego towarzysza a brata przyrodniego — Norijori. Najęci i wysłani przez niego skrytobójcy zamordowali Norijorego, a Joszycune zdołał ocalić się wraz z wiernym Benkeim. Dowiedziawszy się o tem, Jorytamo począł obwiniać Joszycuna o zdradę stanu i o czychanie na jego życie, a niebawem wysłał zastęp żołnierzy, aby go pojmać i jako zdrajcę stanu przyprowadzić do Kioto. Niebawem otoczono ich ze wszech stron, tak że błądząc bezradnie w górach hakońskich, natknęli się nareszcie na czatujący oddział żołnierzy. Joszycune już się miał za straconego, ale uratowała go przytomność umysłu Benkeja. Zachował on był na szczęście strój swój zakonny, toć bez namysłu dał szturchańca Joszycunemu i zaczął go łajać, że nie okazuje należnego poszanowania wojskom cesarskim, a sam pokornie pochylając się przed dowódcą oddziału, zamykającego mu drogę, jął przekładać, jako będąc mnichem z pobliskiego ubogiego klasztoru górskiego, wysłany został

z kwestą na brakujący im jeszcze dzwon. — Ale oto — dodał — rady sobie dać nie mogę z tym mazgajem głupim, którego mi dodano do pomocy, aby nosił za mną burkę i żywność, toć raczcie, panie dostojny, wytłómaczyć jego gburowatość i nieokrzesanie.

Oficer dał wiarę temu tłómaczeniu, i w ten sposób zdołali obadwaj umknąć w dalsze góry, skąd po długich wędrówkach i tułaczce, zdołali wreszcie dotrzeć na daleką północ Japonii i tam znaleźć bezpieczne schronienie u starego przyjaciela Joszycunowego — księcia Chidechiry, gdzie też spokojnie przebywali do czasu śmierci jego. Lecz zaledwo zacny Chidechira zamknął oczy, wnet syn i następca jego wysłał potajemnie gońce do Jorytomy, zdradzając przyjaciela i gościa ojcowskiego.

Teraz to Jorytomo uznał za stosowne sam na czele zastępów wyruszyć w pochód i żywym lub nieżywym pojmać brata w swe ręce. Zdrajca wszakże, nie czekając przybycia Jorytomo, gwoli pozyskania jego łaski i wręczenia mu głowy Joszycuny — posłał skrytobójców ku temuż. Ale poczciwi ludzie zawczasu przestrzegli Joszycunę i niewiadomo na pewno, co się z nim i Benkeim stało.

Jedni powiadają, że sami siebie pozbawili życia, aby ujść śmierci haniebnej, inni zaś — i tych jest więcej — mniemają, że uszli na wyspę Jesso, co też stwierdzają tubylcy tej wyspy — Aiszowie, opowiadając o dziwnym bohaterze, którego zowią bogiem Kurumi, zwanym także przez szczepy sąsiednie Daimiożynem. Ma to właśnie być Joszycune. Przybywszy tu z południa, nauczył ich różnych sztuk i rzemiosł, jako też rolnictwa, żeglarstwa i używania łuków, za co też po dzień dzisiejszy jest ubóstwiany; natomiast wszakże od boskich tubylczych władców wyuczywszy się czarów, przechytrzył ich, i ze zdobytemi czarami umknął.

Co się z nim po owej ucieczce stało, również wieści głucho obiegają, a mianowicie, że z Jesso dostawszy się na ląd stały, dostąpił tam ogromnego wzięcia i niezwykłej władzy wśród szczepów mongolskich i że to on właśnie był tym Dżengischanem, który prowadząc Mongołów do coraz to bardziej znakomitych zwycięstw, stał się nareszcie zdobywcą świata.

Założyciel zakonu niewidomych.

Wódz Kakekigo, obdarzony przez boginię Kwannasz niezwykłą siłą i mocą, był jednym z tych bohaterów, którzy w wielkiej wojnie domowej między rodami Tairów i Minamotów walczyli po stronie pierwszych. W bitwie pod Dannouną, w Szymonoteckiej cieśninie morskiej, dzięki właśnie owej mocy udało mu się przebić przez zastępy nieprzyjaciół i uciec w łódce. Jorytomie, wodzowi tych ostatnich, wielce zależało na tem, aby takiego mocarnika dostać w swe ręce, gdyż ceniąc go wysoce, pragnął go pozyskać dla swoich zastępów i niepłoną żywił nadzieję, że życzliwością i dobrocią dopnie tego, byle tylko pochwycić go żywcem. Po wielu pościgach udało się nareszcie żołnierzom jego pojmać go i przywieźć przed oblicze wodza. Jorytomo przyjął go z honorami a wielce łaskawie i tylko pozornie traktował go jako jeńca, w rzeczywistości zaś pozostawił mu dużo wolności.

Z tego właśnie skorzystał Kakekigo i umknął. Rozpoczęto na nowo pościg i znów udało się go pochwycić, i znów tak samo traktowano go życzliwie. Kakekigo i tym razem uciekł. Ale widocznie szczęście mu nie sprzyjało, bo znów pojmany, stawiony został przed oblicze Jorytoma, który teraz z natarczywością zabrał się do niego, prosząc go usilnie, aby zaniechał swojej nienawiści i opuściwszy stronę przeciwników, pozostał u niego, za co ślubował mu przyjaźń stateczną. Kakekigo odrzekł na to:

— Niepodobna, mości książę. Jestem w usługach innego dobrego władcy, a twego wroga, któremu ślubowałem wierność i przyjaźń, a choć on już nie żyje, toć przecie dwa razy szafować moją wiernością i przyjaźnią nie mogą. Wielce ci jestem, mości książę,

obowiązany, a życie moje, któreś mi parokrotnie podarował, w ręku twoich. Mimo to nie mogę podnieść wzroku mego na ciebie bez niepowściągnionej chęci odrąbania ci głowy. Tedy jedno uczynić mogę: weź moje oczy, które mnie wciąż podniecają do pomszczenia na tobie śmierci władcy mego, niech one będą jedyną zapłatą za twoją wspaniałomyślność!

I to rzekłszy, zanim zdołano przeszkodzić, wyrwał własnoręcznie swe oczy i podał je Jorytomie.

Jorytomo, przejęty głębokim żalem a czcią dla ślepego bohatera, natychmiast obdarował go całkowitą wolnością.

Kakekigo udał się do Hiugi i założył tam kongregacyę religijną, która od nazwiska władców jego przezwaną została tairowską, choć częściej zowią ją zakonem niewidomych, który z czasem wielce się rozszerzył po kraju i prześcignął wszelkie inne zakony mnichów ociemniałych, choć członkowie jego muszą całe życie nosić opaski i żebrzącymi być im nie wolno. Kakekigo pierwszym też został jego przeorem, rządząc przez długie lata kongregacyą, jeno w wolnych od trudów chwilach zamykał się samotnie, a wówczas brał lutnię do rąk, którą władał mistrzowsko, i w dźwiękach jej topił przeszłość swoją.

Kuszony mnich budaistyczny.

Słynną świątynię w Mijaszymie zbudował był świątobliwy mnich Ihaczy, który dzięki wielu dziełom pobożności i żywotowi pełnemu zaparcia się doznawał głębokiej czci u ludu, a natomiast nierzadko wyszydzany i wyśmiewany był przez ludzi światowych i niedowiarków.

Do takich też należał wysoki dostojnik Kato, człowiek wolnomyślny i w nic nie wierzący, który postanowił nie tylko wystawić mnicha na pokusy, ale jednocześnie wyśmiać go ostatecznie. W tym celu wydał wspaniałą ucztę, sprosił wiele gości i kazał dać do stołu przedewszystkiem z drobiu i ryb potrawy, najsurowiej wzbronione kapłanom, a co gorsza — usługiwać polecił pięknym dziewczętom. Gdy tedy najurodziwsze z nich zbliżyły się ku niemu, i jedne podały mu ptactwo, drugie zaś ryby, Ihaczy, siedząc, pokornie pochylił na dół głowę, a przesuwając ziarnka różańca w ręku, jął poruszać ustami i szeptać słowa modlitwy. I oto po chwili biesiadnicy w ogromie podziwu spostrzegli, jako ptaki, przyrządzone w potrawie i podsunięte ku niemu na stole, naraz ożyły i wesoło świergocąc poczęły latać po izbie; ryby zaś, leżące na półmiskach, poruszać się i trzepotać. Ihaczy każdą po kolei brał w rękę i wpuszczał je w strumyk, płynący z parku dokoła izby biesiadnej. Zaczem podniósł wzrok swój na urodziwe dziewczęta, i te się naraz przed oczyma obecnych zmieniły w szkielety śmiertelne.

Nawrócony gospodarz w skrusze i żalu padł na kolana przed mnichem i błagał niebiosa o przebaczenie. Ihaczy cofnął zaklęcie, zaczem dziewczęta napowrót odzyskały swą świeżość i urodę.

Innym znów razem ku wielkiemu zdziwieniu i zgorszeniu spo-

strzegli ludzie Ihaczy'ego idącego ulicą w towarzystwie ślicznych dziewcząt.

— A to obłudnik! — wołali w oburzeniu. — Udaje pobożnisia i wstrzemięźliwego, a nie wstydzi się spacerować z ponętnemi kobietkami!

Ihaczy z uśmiechem zwracając się do swego towarzystwa, rzecze

— Widzicie, gorszą się ludzie waszą tu obecnością, tedy rozstać się musimy, bądźcie zdrowi!

I w tejże chwili rzekome dziewczęta stały się smokami morskiemi i wśród powstałej burzy gwałtownej pośpieszywszy ku morzu, zniknęły w falach jego. Były też to naprawdę duchy, będące w usługach boga smoków i morza, który wysoce poważając Ihaczego gwoli jego pobożności, nieraz mu świadczył usługi.

Czując zbliżającą się śmierć, postanowił Ihaczy godnie przygotować się na tamten świat i w tym celu poddał się tysiącdniowemu postowi. Do końca go wszakże nie doprowadził, brakowało jeszcze pięćdziesiąt dni, gdy nad klasztorem jego pojawił się obłok różowy przecudownego zapachu; i tam też uleciała dusza Ihaczego. Gdy zaś zwłoki wedle przepisów wiary jego złożono na stos i spalono, a potem chciano te popioły zebrać i pogrzebać, uderzyła w stos gwałtowna fala morska i zabrała je do szczętu. W ten sposób bóg morza okazał ostatnią cześć pobożnemu mnichowi, zabierając ku sobie jego resztki śmiertelne.

Cudowny kocioł.

W górskim klasztorku w Joszju przebywający zakonnik, przetrząsając raz stare rupiecie w kącie alkowy, natrafił na stary kocioł żelazny, który tam musiał leżeć od czasów niepamiętnych. Ksiądz obejrzał go ze wszech stron uważnie i przekonawszy się, że nigdzie nie jest uszkodzony, ani rdzą zbyt zjedzony, oczyścił go z kurzu i śmiecia i zabrał do swojej izby.

— Wcale nie złe odkrycie i to w sam czas — pomyślał sobie księżyna, rozważając, jako ma wprawdzie jeden kociołek, ale dobrze jest mieć też i drugi w zapasie na wszelki wypadek, a na kupno nowego nie tak łatwo się zdobyć przy braku monety. Zdjął też zaraz z ogniska dawniejszy, a znaleziony napełniwszy wodą, postawił na ogniu dla wypróbowania go.

Ale zaledwo woda w kociołku ociepliła się, ksiądz spostrzegł widowisko, o jakiem się mu ani śniło. Z jednej strony kotła pokazała się głowa, z drugiej — długi powłóczysty ogon, a wreszcie między niemi cztery łapy, w końcu kocioł okazał się istnym dorosłym tanukim, który wyciągnąwszy się i zipnąwszy, zeskoczył z ogniska i począł wesoło kręcić się po izbie. Ksiądz, w wysokim stopniu zdziwiony, chciał z początku zażegnać go modlitwą, ale tanuki tak szalone susy ku sufitowi i ścianom wyprawiał, że przestraszony gospodarz przywołał braciszka zakonnego na pomoc. Obadwaj poczęli teraz z miotłą i kijem bambusowym uganiać się za zwierzęciem, aż go nareszcie pojmali i wsadzili do skrzyni drewnianej. Zaczem usiedli naradzać się, co począć z tym fantem? Długo rzecz rozważywszy i wszechstronnie, postanowili wreszcie udać się do jednego z handlarzy, ażali nie zechce go kupić.

Handlarz przybył obejrzeć, przystąpiono do skrzyni i otwarto ją. Ale o dziwo! zamiast zwierzęcia stał tam spokojnie kocioł, ten sam, zwykły kocioł, jakby całe poprzednie zjawisko było sennem widzeniem.

— Niech sobie co chce będzie, ja go mieć nadal nie chcę! — zawołał księżyna, rozstawiając ręce bezradnie. — Kup to sobie, za ile ci się podoba — dodał, zwracając się do kupca.

I odprzedał kocioł za bezcen, rad, że się pozbył nieproszonego licha. Kupiec tymczasem, niosąc kupiony kocioł do domu, uczuwał w drodze coraz cięższym nabytek; przyniósłszy więc do izby, rzucił go czemprędzej w kąt. W nocy wszakże posłyszał niezwykły szmer, wydobywający się z tego miejsca, gdzie właśnie stał kocioł. Nabrał odwagi, wstał i zajrzał; nic nie było, kocioł stał spokojnie po dawnemu. Ale po niejakim czasie znów się szmer ponowił, i gdy kupiec zajrzał ponownie na to miejsce, zamiast kotła pojawił się tanuki, który począł robić grymasy i dziwaczne wyprawiać skoki, wylazł na stołek nocny, gdzie lampa stała, i nie potrąciwszy jej, zręcznie wygramolił się po ścianie na belkę sufitową i począł na niej wesoło się huśtać. Kupiec przypatrywał się tym hecom ze zdziwieniem i nieco przelękniony, tak że dopiero nad rankiem zmrużył oczy.

Gdy za dnia się przebudził, kocioł spokojnie stał na miejscu. Kupiec zamknął starannie izbę i poszedł opowiedzieć całą historyę staremu sąsiadowi, który, wysłuchawszy go spokojnie, bynajmniej się sprawą nie zadziwił, powiadając, że w młodości swojej słyszał już o takim kotle cudownym i radził kupcowi pokazywać go za pieniądze ludziom w świecie.

— Możesz przytem zostać człowiekiem bogatym — mówił sąsiad — ale radzę ci przedewszystkiem wyjednać zgodę na ten interes od samego czupiradła; a następnie strzeż się, by podczas przedstawienia modlono się, albo w ogóle dokonywano jakiej ceremonii religijnej, gdyż to go odstraszy.

Kupiec, podziękowawszy za dobrą radę, pożegnał sąsiada i powrócił do domu. Tanuki chętnie przystał na propozycyę. Zbudowano budę i ogłoszono ludowi, że za opłatą może widzieć najciekawszą rzecz na świecie.

W dniu zapowiedzianym przed tłumnie zgromadzoną publicznością pokazano cudowny kocioł i ustawiono go na estradzie. Na dane hasło wylazły nogi, głowa i ogon, i rozpoczął się taniec. Tanuki wystąpił raźnie i podług wszelkich przepisów sztuki na rozpiętej linie wykonywał z wdziękiem wszelkie zwroty taneczne, wywołując nieopisany zapał widzów. Zachwytowi i okrzykom końca nie było. Od tej pory dzień w dzień trudno było docisnąć się do budy. Każdy był ciekawy przypatrzeć się tak niezwykłemu widowisku. Stało się, jak sąsiad przepowiedział: kupiec wzbogacał się coraz bardziej, suto gromadząc do skrzyni składane pieniądze. Mimo to nie czuł się spokojnym i szczęśliwym, gryzło go sumienie, że musiał obywać się bez modlitwy i pacierza. Dręczony nieustannie wyrzutami, zebrał się wreszcie na odwagę, wziął do kabzy sto jenów w złocie i udał się do księdza, pierwotnego posiadacza kotła. Tu mu szczerze opowiedział całą historyę, wyznał, że dłużej posiadać kotła nie chce i nie może, i prosił go o modlenie się za jego dotychczasowy grzech oraz o przyjęcie złożonej kwoty jako ofiary za pokutę.

Kapłan po namyśle zgodził się na prośbę, przyrzekł modlitwami starać się o wyjednanie przebaczenia bogów i zezwolenie kupcowi na posiadanie zebranych funduszów; ale jednocześnie skłonić żałującego za grzechy do złożenia drugich stu jenów w celu zbudowania odpowiedniej kaplicy. Umieszczono w niej kocioł, który kapłan przy stosownych modłach zażegnał i poświęcił. Tłumy ludu ze wszech stron pielgrzymowały teraz do kaplicy dla oglądania cudownego kotła, nie skąpiąc ofiar świątyni, której spokoju nie naruszał odtąd tanuki pojawianiem się swojem; ale kocioł stoi tam dotychczas i każdy może go oglądać na własne oczy.

Urocza liszka.

Młody książę zapragnął się ożenić. Rozglądając się wszakże dokoła w bliższem i dalszem sąsiedztwie, nie natrafił ani na jednę piękność, któraby mu się nadawała na małżonkę. W ten sposób na bezskutecznych poszukiwaniach upłynęło lat kilka.

Gdy dnia pewnego wyruszył na wycieczkę w bogatej, przez ośmiu laufrów niesionej lektyce, otoczony wspaniałym orszakiem dworzan — spotkał się z innym, równie długim i okazałym orszakiem, otaczającym rozkoszną a wykwintną lektykę, a w niej siedzącą dziwnej urody młodą damę, która, zaledwo wzrok na nią padł książęcy, zakryła się pośpiesznie wachlarzem. Uderzająca jej piękność tak wielkie uczyniła na nim wrażenie, że bezzwłocznie wysłał ku niej jednego z dworzan z prośbą o przedstawienie się i o rozmowę. Gdy prośbie zadość uczyniono, książę znalazł w niej i w rozmowie i w zachowaniu się osobę również uroczą jak piękną, i zakochany, bez wahania ofiarując jej swą rękę, zapytał też dyskretnie o jej pochodzenie i familię. Dama poinformowała go, że pochodzi z domu zacnego i wymieniła szlachcica, zajmującego poważne stanowisko na dworze pewnego księcia w dalekiej prowincyi jako swego ojca, że wszakże ma ona blizkich krewnych w innej stronie kraju, dokąd droga właśnie prowadzi przez posiadłości młodego księcia, i udaje się tam dla odwiedzenia mocno chorej osoby w rodzinie owych krewnych. Książę uczuł się tak ujęty jej wdziękami, że ani dopuszczał myśli oddalenia się, i prosił ją natarczywie o zawarcie bezzwłocznego małżeństwa. Dama z początku wahała się i czyniła pewne objekcye, przedstawiając zwłaszcza potrzebę wyjednania wpierw zezwolenia jej ojca; gdy wszakże książę przedstawił jej, jak dłu-

giego czasu potrzeba, zanim posłaniec tam i napowrót uciążliwą drogę odbędzie, uległa w końcu natarczywości zakochanego i przystała na małżeństwo.

Książę oczywiście cały się oddał uroczej żonie i cały czas, wolny od łowów lub innych zajęć rycerskich, spędzał przy niej, znajdując niewysłowioną rozkosz w jej rozmowie i towarzystwie.

Raz — a było to w skwarny dzień letni — wszedł niespodzianie do jej komnaty, i zdziwił się niepomału, nie zastawszy jej, skoro wiedział, że zwykle o tej porze zażywa wczasu u siebie. Ale zdziwienie jego stało się jeszcze większem, gdy na kosztownem wezgłowiu, ozdobionem jak zwykle ulubionemi chryzantemami, ujrzał dużego lisa śpiącego. Cofnął się zwolna, wyciągnął łuk i strzelił w zwierza, trafiając go w same czoło. Strzała wszakże za szybko wypadła i nie mając dostatecznej siły w źle napiętej cięciwie, nie przebiła kości, jeno ześlizgnęła się po niej. Lis ugodzony zerwał się z przestrachu i umknął w gęstwinę parku książęcego, gdzie go nie zdołano odszukać, mimo iż książę tropił go do samego wieczora.

Po powrocie do domu spostrzegł na czole ukochanej żony bliznę i właśnie w tem miejscu, które odpowiadało miejscu ugodzonemu na czole lisa. Żachnął się tedy zdumiony.

— Jeno prosty wypadek, prosty zbieg okoliczności — pomyślał sobie. — Lis musi się znajdować gdzieś w pobliżu domu i wypoczywać wśród kwiatów i ziela ulubionego.

Zaczem ze spokojem i bez żadnego podejrzenia zapytał żonę, skąd ma bliznę na czole? Łagodna zwykle kobieta wpadła w istny szał od razu: z oczu jej strzeliły błyskawice gniewu i mściwości. Skądby blizna pochodziła, nie umiała dać żadnego wyjaśnienia, i książę po długich wątpliwościach i walkach z sobą, powziął nareszcie podejrzenie, że padł ofiarą zaczarowania i że małżonka jego niczem innem nie jest, jeno lisem. Natychmiast więc przywołał straż i kazał rzekomą żonę pochwycić i uwięzić. Zaczem posłał po kapłana, biegłego w zaklęciach i w zażegnywaniu złych duchów.

Zaledwo tenże rozpoczął swoje modlitwy i zaklęcia przy kadzidle, zniknął urok i zamiast pięknej kobiety oczom wszystkich

obecnych przedstawił się ten sam duży lis, którego książę zranił w łeb. Teraz tedy należało postąpić z wielką przezornością, aby po zabiciu lisa duch jego nie wyrządzał jeszcze więcej licha, skoro za życia posiadał tyle mocy czarodziejskiej. W zamkniętej więc szczelnie komorze spalono go do szczętu i popiół rozsypano w bieżącej wodzie. Od tej pory nic o nim nie słyszano

Kamieniarz.

Był pewnego razu kamieniarz, który codziennie chodził do kamieniołomu, wydobywał stamtąd komienie, obrabiał je i sprzedawał na nagrobki i progi do domów. Że robota była staranna, a zapotrzebowanie znaczne, miewał też sporo odbiorców. Ciężko szło wprawdzie z robotą i niewiele na niej było zarobku, ale kamieniarz nie pragnął więcej i był zadowolony z losu swego.

Oddawna wieść głosiła, że w owej okolicy, gdzie on ciężko na chleb pracował, pojawiał się od czasu do czasu duch górski, który ludziom okazywał życzliwość i dużo im świadczył w polepszeniu losu. Ale kamieniarz nigdy z nim się nie spotkał i potrząsał głową z niedowierzaniem o istnieniu jego.

Gdy wszakże raz, odniósłszy nagrobek bogatemu panu, zobaczył jego przepych domowy i rozkoszne łoże jego, iście książęce, gdy powrócił do swej wyciskającej z czoła pot pracy, westchnął i zawołał:

— Ach! gdybym był człowiekiem bogatym, nie potrzebowałbym się tak mozolić i poniewierać, a mógłbym też sobie wygodnie sypiać na rozkosznem łożu o jedwabno-purpurowych zasłonach ze złotemi frędzlami.

Zaledwo wymówił te słowa, rozległ się po nad nim w powietrzu głos tajemniczy:

— Pragnieniu twemu stanie się zadość; będziesz człowiekiem bogatym!

Ze zdziwieniem obejrzał się kamieniarz dokoła, a nie ujrzawszy nikogo, zabrał swe narzędzia i powlókł się ku domowi, zaprzestając na ten raz dalszej roboty. Gdy zbliżył się do chałupy,

zdziwił się jeszcze bardziej: zamiast ubogiej lepianki — stał dom piękny, okazały, z urządzeniem wszędzie wspaniałem, ba, nie brakowało nawet pożądanego tyle łoża rozkosznego z firankami. Ucieszony nad miarę, objął to wszystko w posiadanie, zapomniał rychło o swoim ciężkim zawodzie dotychczasowym i spokojnie zażywał wczasu.

Pewnego dnia, gdy słońce rozpaliło powietrze do tyla, że niepodobna było wychylić się z domu, ujrzał kamieniarz przez okno okazały orszak ludzi, przeciągający mimo domu jego. Wśród mnogiej rzeszy świetnych rycerzy wykwintna służba niosła kosztowną lektykę, a w lektyce siedział książę, nad głową którego trzymano złotem lśniący parasol rozpięty, chroniący go od promieni słonecznych. Z goryczą przypatrywał się były kamieniarz orszakowi temu, a gdy tenże zniknął z przed oczu jego, zawołał:

— O, gdybym był księciem, to przecież też kazałbym się w ten sposób nieść i nieść nad sobą parasol złocisty, chroniący mię od promieni słońca!

Zaledwo wymówił te słowa, stał się istotnie księciem. Lektykę jego otaczał orszak rycerzy, a on sam w honorach, blasku, bogactwach, dostojeństwie — słowem miał wszystko, czego pragnął, nie wyłączając oczywiście i złocistego parasola, którym się osłaniał. Mimo to nie czuł się zadowolonym, wciąż się do koła rozglądał i rozmyślał, czem by mógł przecie jeszcze bardziej polepszyć stan swój i uprzyjemnić, a gdy widział, jak wszechwładne słońce dokoła niego paliło, gdy się przekonał, że w promieniach jego trawa do szczętu wysychała, a nawet jego własna twarz, mimo złocistego parasola, od upału coraz bardziej brunatniała, cisnął skargę na żywot dotychczasowy i zawołał markotno:

— Słońce jest potężniejszem odemnie! Gdybym był słońcem!

I stał się słońcem i czuł się dumnym swą potęgą. Wysyłał promienie swoje w górę i w dół, na prawo i lewo, tępił trawę na ziemi i palił skórę księcia tak samo jak każdego innego człowieka. Gdy wszakże z czasem ochłonął w swej pysze, uczuł się znużonym własną potęgą, a gdy nadeszły chmury i zaległy przestwór między nim a ziemią, zasłaniając ją przed nim, zawołał z gniewem:

— Cóż to? Chmury pochłaniają wszystkie moje promienie,

są więc potężniejszemi odemnie! To nie uchodzi, ja, ja pragnę być wszechwładniejszym i stać się chmurą!

— Twemu życzeniu staje się zadość, zostajesz chmurą! — rozległ się głos wielkiego ducha górskiego.

I został chmurą i zawisł między niebem a ziemią, przyjmując w siebie promienie słońca i patrząc z uciechą na zieleń i kwiecie, okrywające ziemię całą. Ale to mu nie wystarczało, zachciało mu się okazać jeszcze większą potęgę, wyrzucał więc potokami całemi deszcze na ziemię, dzień i noc, tygodniami całemi. Wezbrały więc gwałtownie potoki i rzeki, tamy i groble poprzerywały się i fale wody jęły postoszyć niwy i pola, unosząc z sobą wszystko, co im po drodze zalegało. Jeno skała stała niewzruszona, urągając wściekłym falom i nie dbając zgoła o całą tę zawieruchę; ani jednego kamienia z jej twardej opoki nie zdołał oderwać żywioł rozpasany. Zdziwiona tedy chmura zawołała:

— Cóż to? Skała silniejsza nademnie? Nikt wobec mnie nie powiniem być potężniejszym, chcę skałą być!

Zaledwie wygłosiła to pragnienie, odezwał się duch górski:

— Staje się zadość pragnieniu twemu, w skałę się zamieniasz!

Został więc skałą i cieszył się mocą swoją, z dumą piętrząc się nad ziemią i obojętnie spoglądając zarówno na palące dokoła promienie słońca, jak i na ulewę deszczu, i nie dbając wcale o walkę żywiołów, silnie i potężnie spojony z ziemią. Pewnego dnia wszakże do stóp jego doleciał szmer dziwny i gdy zaczął badać powody onego, ujrzał niepozornego kamieniarza, jak żelazny kilof zapuszczał w opokę jego i odrywał z niej kamień po kamieniu, które z łoskotem spadały w dolinę. Zasmucony tym widokiem, zawołał:

— Cóż to? Takie marne stworzenie okazuje się władniejszem odemnie, skały potężnej? Tak być nie może, wolę być człowiekiem!

I gdy głos wielkiego ducha górskiego rozległ się na nowo, zwiastując mu spełnienie życzenia jego, stał się po dawnemu ubogim kamieniarzem. W pocie czoła zdobywał znów swój chleb ubogi, ale poprzestawał na nim i nie pragnął już innej odmiany życia nad posiadane od młodości. A tak nie żywiąc innych pragnień i nie żądając niczego od losu, nie posłyszał też już nigdy głosu wielkiego ducha górskiego.

Handlarz ryb.

W dzielnicy Kanda w Tokio żył niedawno niejaki Cenroku, z żoną i synkiem, człowiek ubogi, który drobnym handlem ryb ciężko na chleb pracował. Gdy żona go ku wielkiej jego żałości odumarła, oddał dziecko na wychowanie pewnej starej kobiecie, a sam po pracy całodziennej, widząc pustki w domu, spędzał wieczory po gospodach w towarzystwie kolegów. Chociaż nie ulegał żadnym nałogom, a zwłaszcza karcianemu, raz wszakże dał się namówić i zasiadł do kart w herbaciarni. Jak na toż zaskoczyła go tam policya, aresztowano biedaka i wpakowano do kozy.

Była to dziura ciemna, posępna, wilgotna, w której Cenroku, długo czekając na rozpoznanie swej sprawy, zapadł tymczasem na febrę. Stara kobieta, długo czekając na swoją zapłatę, którą on jej uiszczał dotąd punktualnie, dowiedziała się nareszcie o wypadku, a że była wyrozumiałą, powiedziała sobie, że poczeka, aż go wypuszczą z kozy, nie nadwątlając tymczasem w niczem pieczy powierzonego jej dziecka. Gryzła się tylko położeniem samego Cenroku, toć się niemało uradowała, gdy raz późnym wieczorem zjawił się u niej, najserdeczniej dziękując za dotychczasową opiekę, użyczaną synowi, przyczem powiedział jej, że wprawdzie musi jeszcze wrócić do więzienia, ale nazajutrz będzie wolny.

Nazajutrz też stara, zabrawszy dziecko, poszła przed więzienie na spotkanie więźnia, gdzie czekając czas jakiś, myślała wciąż o tem, jak go zobaczy wychodzącego swobodnie i powita uprzejmie. Lecz jakiż nią przestrach owładnął, gdy zamiast żywego Cenroku, ujrzała niebawem wyniesionego trupa jego, przyczem dowiedziała się od służby służby więziennej, że umarł on wczorajszego wieczora, właśnie podówczas, gdy go widziała u siebie. Zdziwiona i zmartwiona niepomału, zabrała dziecko napowrót do siebie i wychowywała je nadal własnem staraniem, otrzymując zapomogę od litościwych sąsiadów.

Skaleczony wróbel.*)

W czasach bardzo zamierzchłych żyło w głębi gór sędziwe stadło małżeńskie. Choć nie bardzo się wzajem sobie nadawali, bo on był poczciwcem duszy podniosłej, a ona zgryźliwa i zawistna, przecie wlekli jako tako swój żywot społem i doczekali się poważnej starości.

Pewnego dnia siedząc jak zwykle przed chałupą, spostrzegł stary, jak kruk uganiał się za młodym wróblem. Maleństwo piszczało żałośnie z trwogi, a olbrzymi drapieżnik, trzepocąc pożądliwie skrzydłami, tuż tuż nasadził się w gotowości zadania dziobem ciosu śmiertelnego ofierze, ale poczciwy starzec w sam czas przyskoczył i odpędził kruka, który gniewnie kracząc, wzniósł się w powietrze. Litościwy starowina zabrał wnet pisklę do siebie i ostrożnie zaniósł do izby. Biedactwo drżało tak trwożnie, że stary tuląc je i chuchając, pocieszał je opieką, a gdy wszedł do chałupy, wnet włożył ptaszynę do klatki, gdzie też niebawem uspokoiła się i przyszła do siebie, skacząc i ćwirkając radośnie, a stary tymczasem przygotował mu przysmaków domowych, od dnia zaś następnego począł mu od czasu do czasu klatkę otwierać, ażeby się zbyt nie czuł w niewoli. Wróbel poznał się na tej łaskawości, korzystał ze swobody, skacząc i latając wesoło po izbie, a gdy najrzał kota, szczura lub innego nieprzyjaciela, umykał pośpiesznie do swego schroniska klatkowego. Stary sto pociech miał z mądrością i dowcipem ptaszyny, zwłaszcza gdy widział jej przywiązanie do siebie i żadnej ochoty do odbieżenia go, ku czemu przecie miała tyle sposobności na swobodzie. Polubił ją wielce starowina.

Nie tak wszakże było z jego połowicą. Stare to pudło, wiecznie zgryźliwe i niezadowolone, nie kryło się z nieżyczliwością

*) Jedna z najbardziej ulubionych i w wielu illustrowanych wydaniach rozpowszechniona w Japonii bajka.

swoją dla ulubieńca mężowskiego, z podełba patrzyło na jego dlań zabiegi i zazdrościło przysmaków mu dawanych, a nawet je odbierało ptaszynie, gdy stary z domu wychodził. Są ludzie, których dręczy miłość, okazywana dla innych, po prostu znieść nie mogą tego ciepła tkliwego, które ogrzewa serce ludzkie, a przeciwnie rozkoszują się możnością rozgoryczenia kogokolwiek. Do takich należała i ta stara. Sam widok ptaszęcia irytował ją; zrzędząc i gderając, nienawistne spojrzenia ciskała wciąż w stronę klatki; wreszcie gdy pewnego dnia stary wyszedł z domu, dała upust długo żywionej niechęci. Mrucząc krzątała się po izbie, od czasu do czasu rzucając groźne spojrzenie w stronę klatki, gdzie nic niepodejrzewający wróbel skakał i poćwirkiwał radośnie. Kobieta stała właśnie przy balii, piorąc bieliznę, a wyprawszy, przyniosła krochmal. Wróbel, wyleciawszy z klatki, usiadł na brzegu balii i począł dziobać mączkę krochmalową. Uniesiona pasyą schwyciła stara nożyce i zamierzywszy się miała już zadać cios śmiertelny ptaszynie; czy wszakże tknięta sumieniem lub też w zamiarze zgotowania wymyślniejszego udręczenia, ujęła wróbla w jednę rękę, a drugą nastawiła nożyce do wycięcia mu języka.

— Nie będziesz mi przynajmniej teraz żreć i łasować przysmaków! — mruknęła przez zaciśnięte zęby.

Ptaszę cofnęło główkę wstecz, mimo to otrzymało głębokie cięcie w język i zapiszczało tak przeraźliwie, że okrutna baba z przestrachu opuściła ręce, a ono, wyrwawszy się z izby, wyleciało w świat daleki.

Gdy po niejakim czasie stary powrócił do domu, opowiedziała mu całe zajście, wyburczawszy jego samego w dodatku za to, że się ujmuje za takim mizernym nicponiem, jak gdyby tu szło o coś ważnego.

— Pozbyłam się przynajmniej tego żarłoka i próżniaka, co mi przeszkadzał w domu! — mówiła, sapiąc w oburzeniu.

Stary wszakże był tak zgryziony zajściem, że zdobywszy się na odwagę, począł bez ogródek wyrzucać swej połowicy brak litości dla biednej ptaszyny i grozić jej karą nieba. A wygadawszy się, wyszedł z izby, siadł przed chałupą i począł rozglądać się dokoła, ażali nie spostrzeże i nie przywoła ptaszyny napowrót.

I tak czynił codziennie, ale napróżno; ptaszka jak nie było, tak nie było. Stary uznał go za straconego na zawsze i poddał się swemu losowi.

Dużo od tej chwili czasu upłynęło, gdy w pewien letni słoneczny dzień stary nasz wyszedł z domu i powoli powlókł się ku laskowi, aby w cieniu zarośli jego szukać ochłody przed skwarem. Piękny gaj bambusowy rozciągał się przed nim i tam też skierował swe kroki. Znalazłszy się w głębi, ujrzał nagle przed sobą ogród cudowny, którego dawniej nie widział. Zdziwiony, jął się rozglądać dokoła i wreszcie spostrzegł miluchny domek i wychodzącą z niego prześliczną, uśmiechniętą dziewczynę. Kroczyła właśnie przez ogród a doszedłszy do furtki, rozwarła ją i witając przyjaźnie przybyłego, odezwała się doń:

— Wejdź tu, proszę, stary, kochany przyjacielu. Przecie znalazłeś mnie nareszcie! Jać to jestem ten mały wróbel, któremuś był życie uratował i dałeś tak gościnny przytułek.

Stary z radości klasnął w ręce, a przyjąwszy zaproszenie, gdy wszedł do ogrodu i następnie do wnętrza domu, nie mógł się dość nadziwić temu, co widział. Tymczasem dziewczynka posadziła go na pięknem wezgłowiu i podała mu mnóstwo łakoci, których dawniej nie jadał; przyczem obsługiwała i gościła go tak przyjaźnie, tak troskliwie, z tak wdzięcznym uśmiechem, że stary z rozrzewnienia zanosił się od łez i śmiechu. Zaledwo uczta zakończyła się, ujęła dziewczynka w ręce lutnię, a przywoławszy swe towarzyszki, urządziła muzykę i tańce. Czas tak mile i roskosznie upływał na zabawie, że stary ani się spostrzegł, jak zmrok zapadł, ani też do głowy mu nie przyszło myśleć o zrzędzeniu połowicy za jego tak późną włóczęgę. Co więcej, zachwycony gościnnością i przyjęciem, przyjął chętnie zaprosiny pozostania na nocleg. Spał też na bogatej wygodnej macie, którą mu rozesłano na podłodze, a spał wybornie aż do rana. Dopiero gdy wesołe promienie słońca poczęły na dobre zaglądać przez zarośla bambusowe, pomyślał o powrocie. Żegnał się więc, dziękując za gościnne przyjęcie i zabierając się do wyjścia:

— Cóż to ty myślisz, że ja cię tak bez żadnego upominku puszczę?! — odezwała się dziewczyna z uśmiechem, przynosząc mu do wyboru dwa pudełka, jedno małe i lekkie, drugie duże i ciężkie.

Stary, jak zwykle skromny, wybrał mniejsze, pożegnał się jeszcze raz serdecznie i odszedł, odprowadzony uprzejmie przez piękną dziewczynę aż do skraju ogrodu.

Z wezbranem od rozrzewnienia sercem wracał teraz do domu, pełen błogich marzeń i wspomnień. Co go mógł obchodzić wobec tego harmider i gwałt, z jakim się baba rozwydrzyła na niego, gdy wszedł do izby. A można też sobie wyobrazić, co tam za piekło być musiało!

— Niech się wygada i wysapie — pomyślał sobie — to albo jej lżej będzie, albo się zmęczy i ustanie.

Tak się zawsze pocieszał, a teraz tem bardziej. Spokojnie sobie nałożył fajeczkę i zapalił, a pykając raz po raz i wypuszczając z ust obłoczki dymu, wspominał o miłym wróbelku i cudownej, a tak poczciwej dziewczynie, która nie zapomniała o starym przyjacielu. Gdy tak długo marzył, wzrok jego wreszcie padł na trzymaną w ręce szkatułkę. Zdjęty ciekawością jął ją powoli otwierać, a gdy ją otworzył, blask stamtąd łuną go uderzył, wprawiając w nieopisany podziw: samo złoto i klejnoty zalegały wnętrze pudełka. Stara na widok ten przyskoczyła pośpiesznie, wysypała całą zawartość na podłogę, jęła skrzętnie wybierać stamtąd same klejnoty i z przymileniem rozpytywać męża o całą historyę. Stary chętnie zadość uczynił jej żądaniu: z całą otwartością i dobrodusznością szczerze opowiedział całe przyjęcie, nie pomijając najmniejszych szczegółów. Lecz gdy rzecz doszła do dwóch pudeł, gdy stara dowiedziała się, że gość wybrał w podarunku mniejsze pudełko, a większe zostawił, rozpoczęło się gderanie i mycie głowy po dawnemu. I trwało to tak długo, aż musiał jej opisać dokładnie całą drogę do zaczarowanego ogrodu i domu. Nie namyślając się długo, włożyła na siebie stara sekutnica co najprzedniejsze szaty i niebawem puściła się w drogę. Tak wszakże była zacietrzewiona myślą o owem wielkiem pudle, że zmyliła drogę, i dopiero po wielkich kołowaniach i błądzeniach dotarła wreszcie do przybytku wróblego. Na widok ogrodu cudownego zabiło tak gwałtownie w niej serce a pożądliwość do tyla nią zawładnęła, że zapominając o przyzwoitości, ani myślała nawet pukać i prosić o pozwolenie

wejścia do domu, lecz obcesowo tam wpadła jakby do swego własnego mieszkania.

Wróble bardzo się strwożyły takim impetem, a cudowna panna, poznawszy w starej wroga swego, długo naradzała się z towarzyszkami — co począć i jak postąpić. Nie wypadało przecie tak po prostu wyrzucać starą z domu, z uśmiechem tedy wyszły na jej powitanie. Nie poskąpiono jej ciast i wina w ugoszczeniu. A gdy stara z pośpiechem i łapczywością to pochłonęła, myślano, że się całe przyjęcie skończyło i że się jej pozbędą. Ale gdzietam!

— Czy nie będziecie łaskawe dać mi jakiego upominku na pożegnanie? — zagadnęło wprost pożądliwe babisko, widząc, że wcale jej nie myślano zatrzymywać dłużej.

— Bardzo chętnie — odrzekła piękna dziewczyna. I wnet kazała, tak samo jak dla starego, przynieść dwa pudła do wyboru.

Nie namyślając się, chwyciła stara wielką szkatułkę, wzięła ją sobie na plecy i skwapliwie pożegnawszy gospodarzy, wybiegła pospiesznie z domu.

Mimo wszakże pożądliwości, sprawa z pudłem nie wypadła zbyt łatwo. Stawało się ono coraz cięższem w drodze, tak że stara, stękając i pocąc się, przystawała co chwila dla odpoczynku, mozoliła się, ciągnęła, jęczała, raz i drugi upadła w lesie i tylko podsycana wciąż myślą o zdobytych skarbach, po nadzwyczajnych i długich wysiłkach dowlokła się nareszcie do chałupy. Zaledwo próg przekroczyła, upadła bezwładnie na ziemię, ciężko robiąc piersiami jak miechem. Zaledwo trochę przyszła do siebie, zerwała się na równe nogi i z ogniem w oczach a drżącemi rękoma jęła otwierać ciężkie pudło. Zmrok wieczorny był już oddawna zapadł, ale stara wcale nie myślała zapalać światła, lecz gorączkowo przewracając pudło na wsze strony, potrząsała niem i szarpała, aby wieko oderwać i otworzyć. Wreszcie po wielu usiłowaniach oderwała je. Lecz o zgrozo! Zamiast spodziewanego złota i klejnotów, wyskoczył stamtąd potwór okropny z ciskającym iskry płomienne wzrokiem, z gadzinowym ogonem i dużemi szponami, a wyskoczywszy, rzucił się z impetem na przestraszoną babę i jął ją dręczyć, smagać i dusić, aż straciła przytomność.

Kocia miłość.

Przepyszny był to kocur z tego Gona: sierć miał miękką jak jedwab, a rozumne jego oczy zielone siały blaski światła wśród mroków nocy. Właścicielem jego był pewien nauczyciel muzyki, który go tak lubił i do tyla nim się pysznił, że za nic w świecie nie byłby się z nim rozstał.

Tak samo rzecz się miała i u młodej sąsiadki nauczyciela, która posiadała miluchną kotkę — Komę. Ta mała przylepka była tak lubem stworzeńkiem, tak ponętnie mrugała oczkami, tak wdzięcznie zjadała swą zupkę, i z taką po niej kokieteryą oblizywała swój nosek różowy, że pani jej, zachwycona, raz po raz wołała w zachwycie:

— Komo, Komo, ja się z tobą nigdy nie rozstanę!

Zdarzyło się tedy raz, że oboje, kocur i kotka, spotkali się z sobą, i od razu na zabój pokochali się wzajem. Gon byłby dawno znalazł małżonkę, bo wszystkie kotki dokoła ścigały go wzrokiem pożądliwym, ale dumny swem stanowiskiem i pięknością ani zwracał na nie uwagi. A teraz oto sam przecie wpadł w sidła miłości i z utęsknieniem wyglądał Komy. Nie inaczej było i z Komą: i ona też tęskniła ku niemu i wraz z nim wspólnie rozmyślała nad sposobami zawarcia małżeństwa. Gon prosił swego pana, aby małą Komę wykupił od jej pani, a gdy ta o tem ani słyszeć chciała, tedy Koma molestowała swoją władczynię, aby Gona wykupiła. Ale i nauczyciel muzyki okazał się tak samo nieczułym na prośbę sąsiadki — pozbycia się kota, i wszystko pozostało po dawnemu.

Tymczasem miłość zakochanych była zbyt gwałtowną, aby dali za wygranę, chwycili się tedy środka rozpaczliwego i postanowili wyrzec się stanowiska, na którem od dzieciństwa byli, i uciec w świat pospołu. W pewną tedy noc księżycową wymknęli się

potajemnie od swych władców i rzucili się w przestwory dotąd im nieznane. Za nadejściem dnia, gdy słońce rozjaśniło drogę ich ucieczki, byli już daleko od domu i niebawem ocknęli się w pewnym przestronym parku książęcym. Ale zaledwo tam weszli i poczęli się rozglądać po wspaniałych trawnikach i rozkosznych sadzawkach, gdy naraz spadło na nich nieszczęście w postaci dużego, srogiego psa, który, gdy jeno zoczył koty zdala, w kilku susach rzucił się poszczekując ku nim. Mała Koma krzyknęła głośno z przestrachu i w okamgnieniu wyskoczyła na obok rosnące wysokie drzewo wiśniowe, Gon zaś wstrzymał się na miejscu z zamiarem stawienia odważnie czoła nieprzyjacielowi; niech widzi ukochana jego Koma, jako jest bohaterem, który nie cofa się przed wrogiem, i raczej padnie trupem, niżby miał tchórzliwie uciekać. Niestety, jakkolwiek rycerskiem było to przedsięwzięcie, smutne wróżyło jednak rozwiązanie, bo wobec takiego srogiego olbrzyma jak ów pies, nie było żadnej nadziei walki równej. Gdy sytuacyę jednym rzutem oka objęła Koma, serce jej zabiło gwałtownie i poczęła w niebogłosy miauczeć żałośnie a rozpaczliwie. Pies już był o parę kroków zaledwo, jeden skok i już byłoby po Gonie, gdyby w tej chwili nie nadbiegł z krzykiem służący książęcy, który psa odpędził, Gona uwolnił, ale też natychmiast wziął go na ręce i zaniósł do księżnej, której park był własnością.

Biedna Koma pozostała osamotnioną, a Gon w rozpaczy Ale co było począć? Służący nie pozostawił go ani chwili na wolności, a księżna tak była ucieszona widokiem jego i tak go łaskawie przyjęła, że musiał się poddać swemu losowi.

Księżna owa, obecna jego władczyni, była to pani dostojna a bogata, rozporządzająca wszelkiemi środkami ku szczęściu. I byłaby szczęśliwą, gdyby spokoju jej nie mącił ustawicznie wąż, który się w niej był zakochał i bez ustanku dręczył ją miłością swoją. Czując się tak napastowaną, rozstawiła ona wszędy po pałacu straże, które miały czuwać nad nią i przy pierwszem najrzeniu napastnika odpędzać go i płoszyć. Udawało się to czas jakiś. Pewnego dnia wszakże, gdy straże, uśpione długą nieobecnością napastnika, zapomniały o czujności, a księżna spokojnie siedziała w swym pokoju, grając na wielostrunnem dużem koto, wąż cichaczem wpełzł tam niespodzie-

wanie w zamiarze rzucenia się na nią. Gon siedział właśnie w kącie i przysłuchiwał się uważnie muzyce; mając wszakże oko i ucho otwarte na każdy szmer najlżejszy, zaledwo dostrzegł nieproszonego gościa, rzucił się nań z takim impetem i gwałtownością, że ten w przestrachu nie wiedział, co począć. Gon, nie dając mu ani chwili do opamiętania się, ujął szyję jego w swe szpony, jak w kleszcze, i tak go natarczywie a skutecznie gryźć począł, że ów rychło stracił przytomność i życie. Księżna, która z niepokojem śledziła przebieg walki, uradowana następnie jej wynikiem, rozpływała się w wdzięczności dla swego wybawcy, pieszcząc go i otaczając wszelkiemi wygodami, a nie skąpiąc dlań najlepszych przysmaków. I niby nie brakowało do szczęścia Gona, gdyby jeno mógł mieć swoją Komę przy sobie.

Pewnego dnia, leżąc przed drzwiami pałacu i wygrzewając się na słońcu, a spozierając melancholijnie w świat daleki, ujrzał nagle opodal włóczęgę kota, poniewierającego jakąś kotkę. Jednym skokiem był przy nim, paru uderzeniami łap pokonał go i odpędził, a napastowaną jął pocieszać. Lecz jakież było zdziwienie jego, gdy wynędzniałej kotce przyjrzawszy się bliżej, poznał w niej swą ukochaną Komę! I Koma go zaledwo poznała, tak zmężniał, urósł w siły i dostojeństwo. Zachwytowi z jej strony i radości nie było końca.

Po wzajemnych wynurzeniach afektów i poinformowaniu się o przebiegu życia, ujęli się oboje pod ramiona i poszli do księżnej, której Gon opowiedział namiętne a smutne dzieje swej miłości. Księżna przysłuchiwała się ze współczuciem opowiadaniu, a po zakończeniu onego, zapewniła ich o swojej opiece, postanawiając zatrzymać ich oboje przy sobie na zawsze. Niebawem wyprawiono dla nich sute wesele, a gdy po niejakim czasie i księżna poślubiła księcia z nieco dalszego kraju, opowiedziała mu losy zakochanych i bohaterstwo Gona, który jej życie uratował. Książę, wysłuchawszy historyi, zgodził się najchętniej na to, aby Gon i Koma towarzyszyły księżnej przy przeniesieniu się jej do pałacu jego i aby tu pozostały na zawsze. Z małżeństwa tego kociego urodziło się sporo kociąt, które się bawiły z dziećmi książęcemi, zachowując dla nich za przykładem rodziców miłość i wierność.

Spis rzeczy.